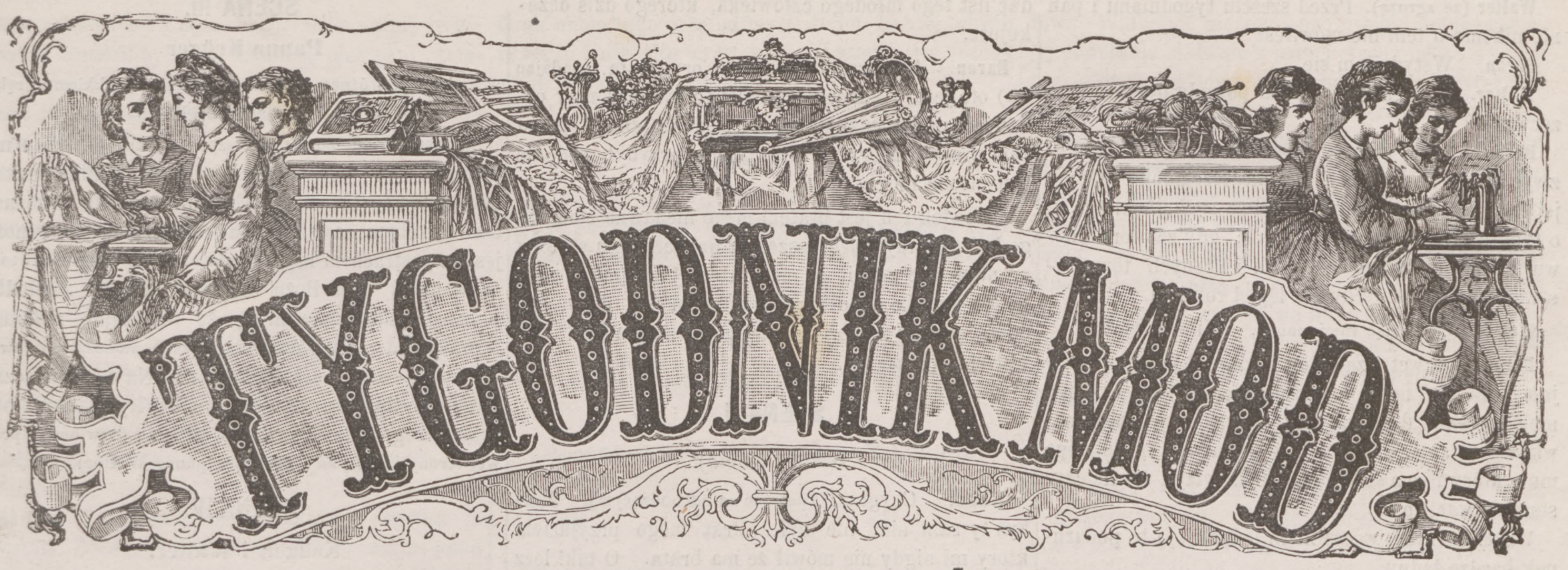
№ 43. Warszawa, dnia 14 (26) Października 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

PEDANT.

Figielek dramatyczny w jednym akcie.

ułożony przez

KAZIMIRĘ TRZEBIEŃSKĄ.

OSOBY:

Baron Hejgendorf radca lat 30.
Krystyna Krüger „ 18.
Werner Elsum kuzyn barona „ 35.
Panna Walter „ 50.
Lokaj „ 50.
Rzecz dzieje się na wsi w domu Barona.

Scena przedstawia pokój jadalny ładnie urządzony, drzwi w głębi prowadzące do ogrodu, drugie po prawej stronie, trzecie po lewej do pokoju gościnnego.

SCENA I.

Baron i Walter.

(Baron ubrany do konnej jazdy Panna Walter mówi z wielką werwą i szybko).

Walter. Ponieważ mamy nowego służącego może więc chciałbyś go pan zobaczyć?

Baron. Nie, później... później jak powrócę. Wiesz pani, że śpieszę do sędziego który na mnie czeka; zresztą jeżeli służący pani się podoba to już dobrze!

Walter. To prawda, jednak panie Hejgendorf pozwól sobie także i to powiedzieć, że teraz przecie nie będziesz miał już żadnych wymówek, tem bardziej, że serce mi z żalu pęka, patrząc się, jak owoce mej zapobiegliwości, mej pracy, wszystkie te pasztety, konserwy, konfitury i kompoty marnieją, i że zechcesz nakoniec oznaczyć dzień swego ślubu, bo inaczej pana nie puszczę! (wstaje i bierze go za rękę),

Baron. Ach mój Boże! jesteś okrutną panno Walter!

Walter. Taką być muszę, gdyż inaczej pan chyba już nigdy się nie ożenisz!

Baron. I ja tak sądzę!

Walter (ze smutkiem). Teraz właśnie kiedy nakoniec odważyłeś się oświadczyć i zostałeś przyjętym; teraz gdy już mamy narzeczoną, teraz mówię wzdragasz się jeszcze? I przed czem? przed weselem!

Baron. Wesele! nie, kochana panno Walter, wolę śmierć.

Walter (załamując ręce). O łaskawe nieba! jakże chcesz pan mieć żonę?

Baron. O! to już moja rzecz. Uzyskałem indult, mocą którego uwolniony jestem od wszelkich zapowiedzi, jako też mam dozwolone wziąść ślub tam gdzie mi się podobać będzie. Tak więc może to nastąpić w pierwszej lepszej wiosce, gdzie mnie nikt nie zna, następnie pojadę w podróż z żoną po okolicach, gdzie mnie również nikt nie zna, a nakoniec wrócę cicho i spokojnie pod ten dach (z czułością) i pod troskliwą opiekę pani.

Walter. Pod mą opiekę?! Nie, panie radco, wtedy już jej pan potrzebować nie będziesz, a i ja wrócę do owdowiałego brata, który ręczę że mej opieki potrzebuje.

Baron (z uśmiechem). Ah! obawiam się, aby brat pani nie był zmuszony długo jeszcze na opiekę pani czekać.

Walter. Długo jeszcze? Bóg to raczy wiedzieć! Ileż to mnie czasu i pracy kosztowało nim skłoniłam pana, że począłeś się starać.

Baron (ze smutkiem). Ależ pani, ty w swojem wyjątkowem stanowisku nie pojmujesz tego, jak dla nas mężczyzn trudną do zwalczenia chwila oświadczyn. Gdy się jest zakochanym, to wtedy wszelką odwagę, odbiera nam obawa odkosza, gdy zaś nie kochamy, no, to wtedy znowu możliwe przyzwolenie toż samo wywołuje.

Walter (z uśmiechem). W istocie, czegoś podobnego kobieta zajmująca (z przyciskiem) wyjątkowe stanowisko pojąć nie może. Nie, na prawdę pan powinieneś uzyskać patent na wynalazek kobiet mających „wyjątkowe stanowisko.“

Baron. Tak to rzecz nie zaprzeczona, boć przecież od kobiet nie można się spodziewać aby się oświadczały, gdy tym czasem gdzie tylko mężczyzna się pokaże, to wszędzie liczą na to, że się oświadczy.

Walter. No, z tem wszystkiem pan jesteś już po słowie, i dla tego też, (z przymileniem) dobry panie radco powiedz mi stanowczo, kiedy będzie wesele? (ze złością). Nie idzie mi o to, czy ja nakoniec stracę cierpliwość, czy nie, lecz o to, aby panna........ jej nie straciła.

Baron (wzdychając głęboko). A! gdybyś pani wiedziała.

Walter. Cóż takiego?

Baron (z przymuszonym uśmiechem). Wróżono mi kiedyś, że... że ja nigdy żony mieć nie będę.

Walter (z szyderstwem). To prawda! Kto ogląda same krzaki, ten naturalnie drzewa widzieć nie może.

Baron. Mój kuzyn Elsum, założył się nawet ze mną o 50 butelek szampana, że nigdy żony mieć nie będę. O! to złośliwy człowiek.

Walter. Założył się to prawda, lecz i to prawda że już przegrał.

Baron. Przegrał—przeciwnie wygrał.

Walter. Wygrał?

Baron. No tak, tak, bo... no... bo... już wyznam prawdę. Panna Langenau napisała mi że... że zwalnia mnie z danego słowa.

Walter (ze zdziwieniem). Jakto, zerwała? Kiedy? na Boga! zemdleję! i kiedyż to było?

Baron. Przed sześciu tygodniami.

Walter (ze zgrozą). Przed sześciu tygodniami i pan nic nikomu o tem nie mówiłeś?

Baron. Wstydziłem się.

Walter. Dla czegóż? Jakież powody były do tego zerwania?

Baron. Jakie powody? (śmiejąc się). No, bardzo zwyczajne; kochaliśmy się nieszczególnie. Gdym jej opowiadał o naszem przyszłem spokojnem życiu, o tym tu domku, poczęła ziewać; gdy zaś ona znowu poczęła opowiadać o balach i licznych towarzystwach, no; to ja wtedy nie lepiej robiłem.

Walter (wzruszając ramionami). Wierzę temu.

Baron. Nawet wzajemne podarunki wykazywały jak różne są nasze usposobienia. I tak w dzień moich imienin dała mi złotą, turkusami sadzoną, wizytową kartę. Prawdziwie dawać coś podobnego mnie który nienawidzę wszelkich wizyt, to najczystsze dziwactwo.

Walter. Z tem wszystkiem jednak był to podarunek bardzo ładny.

Baron. Tem bardziej, szkoda wyrzuconych pieniędzy! Ja zaś dałem Izydorze pyszne tłomaczenie Platona, chcąc by mój najlepszy przyjaciel, był także i przyjacielem mej narzeczonej.

Walter. I cóż ona na to powiedziała?

Baron. Pytała się czytając tytuł na okładce, bo wewnątrz nawet nie zajrzała: „czy lubisz tego starego Greka? A gdym potwierdził i dodał że ją nauczę kochać go, to odpowiedziała mi: na Boga! a kiedyż ja na to czas mieć będę, kiedy nie mam czasu czytać dzieł nowych, które o wiele więcej są zajmujące. Na to odrzekłem jej, miałaś jednak dosyć czasu aby w ciągu dni ubiegłych pięciu być na pięciu balach i dwóch proszonych obiadach! Otóż to moje odezwanie się wzięła mi za złe, i krótko mówiąc, sympatyzując z dniem każdym coraz mniej nakoniec pewnego poranku doniosła, iż mnie zwalnia ze słowa i sama wraz z matką wyjechała gdzieś do kąpieli morskich we Francyi.

Walter. I pan mi o tem nie mówiłeś, jak tylko że ślub odroczony, aż do powrotu Izydory.

Baron. No! teraz śmiej się kochana panno Walter, gniewaj się, ale cóż robić, już się stało.

Walter (z odcieniem gniewu). O nie! ja z pana śmiać się nie mogę, nie! podziwiam tylko pana jak jakie kuryozum! Bo iluż to assesorów, kandydatów, a nawet i poruczników jest na świecie, co pragną się żenić i nic więcej nie mają jak tylko narzeczoną! Gdy zaś przeciwnie pan posiadasz wszystko, dom, stanowisko, majątek, tylko brak mu narzeczonej.

Baron. Tem lepiej (uśmiechając się) odmowa Izydory, jeżeli mam być szczerym, uwolniła me serce od ciężaru, co je przygniatał.

Walter (z uczuciem). Wierzę, cóż robić, widzę iż z panem już nic nie poradzę. Napiszże przynajmniej do swoich najbliższych przyjaciół o tem co zaszło, bo oni zapewno sądzą, żeś już dawno po ślubie który miał być w połowie czerwca a teraz mamy połowę lipca.

Baron. Tak, tak, napiszę. Lecz tym czasem powiedz pani służbie i domownikom że małżeństwo zerwane, a przyjaciołom moim doniosę później o tym wypadku, pieczętując listy moje niedźwiedziem, który z zerwanym łańcuchem wesoło skacząc wraca do lasu.

Walter. W istocie, będzie to symbol bardzo właściwy.

Baron. A teraz jadę. Do widzenia! Sędzia będzie niecierpliwie mnie oczekiwał. Adieu kochana panno Walter, powrócę może wieczorem, a najpewniej aż jutro rano.

Walter. Ale, ale, jeszcze jedno, chciałeś mi pan dać list tego młodego człowieka, którego dziś oczekujesz.

Baron. Ach prawda, list tego oryginała (podając list) oto jest. Jak wnoszę musi to być ogromny pedant szaro francuzkiej szkoły; jednak chciej go tu pani przyjąć dobrze, wrazie gdyby przybył podczas mej nieobecności.

Człowiek ten jest bratem mego niedawno zmarłego kolegi, przyjaciela jeszcze z uniwersytetu a który mi nigdy nie mówił że ma brata. Otóż polecam go opiece pani bo dopóki nie wystaram się dla niego dobrej posady nauczycielskiej pozostanie u nas. Do widzenia (wychodzi).

SCENA II.

Walter (*sama*).

Walter Oryginał! (patrząc za odchodzącym). Jakbyś ty sam nim nie był. Brat mego przyjaciela który mi nigdy nie mówił że ma brata. O tak! lecz ile dzieci miał Pluton lub Sokrates, to wiesz z pewnością. Tylko o dzieci lub o rodzinę przyjaciół to wcale się nie troszczymy. Zresztą dobrze robi że się nie żeni, bo i na cóż tak uczonemu człowiekowi zdałaby się żona? Lecz cóż ja zrobię, jak uspokoję brata? Opuścić zaś radcę, byłoby nie uczciwie, przyzwyczaiwszy go od lat dwunastu do swej opieki. No) ale zobaczymy co ten oryginał pisze. (czyta). Panie baronie, szanowny panie radco, zechcesz wybaczyć mej śmiałości iż bez wszelkiej bliższej znajomości udaję się do niego. Mój zmarły brat Bernard Krüger był przyjacielem pana, otóż licząc na uczucie twoje baronie, któreś raczył wyrazić w listach swoich, pisanych do mego brata, poważam się zanieść do pana prośbę. Od czasu śmierci mego ojca, to jest, przeszło rok już temu, przebywam u swoich krewnych, z postępowaniem których bynajmniej zgodzić się nie mogę, a że wszelkie moje przedstawienia nic nie pomagają, nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko dom swych krewnych opuścić. Otóż będąc bez niczyjej pomocy, w świat wyruszyć nie mogę, udaję się zatem do pana z prośbą o udzielenie mi schronienia pod swoim gościnnym dachem na czas pewien, tem bardziej, że jak to wiem z listu pańskiego pisanego do mego brata, musisz być już żonatym, a więc i dom swój masz odpowiednio urządzony (przerywa czytanie i mówi) a to się omyli (czyta). Mam tę pewność że długo gościnności pańskiej nadużywać nie będę, albowiem znajomość języków starożytnych i nowożytnych wpojoną mi gruntownie przez ojca, stawia mię w możności zużytkowania tych umiejętności. Również nie jest mi obcą i literatura starożytna, a obecnie jest pod prasą moje krytyczne studium nad użyciem pewnego greckiego wyrażenia. Pomimo iż własnoręczny list pana barona z odpowiedzią bardzoby mi był miły, jednak pomijając to upraszam najuprzejmiej, ze względu iż list ten mógłby wpaść w ręce mych krewnych, abyś raczył, zgadzając się na moją prośbę w gazecie powszechnej pomieścić następne ogłoszenie. L. H. zgadza się na propozycyą uczynioną przez C. K. Nie znajdując takiego ogłoszenia będę wiedzieć, że ważne okoliczności nie pozwalają panu baronowi uczynić zadosyć mej prośbie, co wyraziwszy pozostaję *z winnym szacunkiem.* (składając list mówi) Jak ja przyjmę tego oryginała, tego sztywnego pedagoga (po chwilowem milczeniu). Ale to dobrze, przynajmniej będę mogła uraczyć go swemi pasztetami i konfiturami, które uważałam za stracone. A tak, młodzi ludzie, a mianowicie uczeni, mają zazwyczaj dobry apetyt, więc moja praca nie zmarnuje się. Ale się rozgadałam a to trzeba iść, żeby zapoznać nowo przyjętego służącego z jego obowiązkami (wychodzi dźwiami po prawej stronie).

SCENA III.

Panna Krüger

wchodzi w podróżnem ubraniu z torbą i parasolkiem w ręku drzwiami z głębi.

Krüger (oglądając się na wszystkie strony). I tu nikoga nie ma. Przeszłam cały ogród i kilka pokoi nikogo nie spotkawszy. Czy to moje takie przeznaczenie, żebym zawsze była osamotniona? A może jestem postrachem ludzi (siada i kładzie parasolik i torbę na stole). Ach Boże! żeby mnie aby nie zawiodło przeznaczenie, zdaje mi się że tu znajdę rodzinę, którą przed rokiem utraciłam (zakrywa oczy, po chwili wstaje ocierając oczy chusteczką). Na łzy nie czas teraz mówiła Saturniańska Junona, lepiej trzeba poszukać kogo z domowników (idzie ku drzwiom z prawej strony i spotyka wchodzącą pannę Walter).

SCENA IV.

Krüger i Walter.

Walter stojąc przy drzwiach patrzy ze zdziwieniem.

Krüger (po chwili milczenia). Jeżeli się nie mylę znajduję się w domu pana radcy Heigendorfa.

Walter. Tak jest. Czemże mogę pani służyć? (z ukłonem) Jestem panna Walter zarządczynią tego domu.

Krüger. Pragnę się widzieć i mówić z panem radcą.

Walter. Nie ma go w domu i dopiero może jutro powróci.

Krüger (ze smutkiem). Bardzo mi to przykro iż pod niebytność radcy przybyłam, lecz czyż nic nie zlecił odjeżdżając? Czyż nie mówił, że kogoś oczekuje?

Walter (ze zdziwieniem). Przeciwnie, lecz oczekiwał......

Krüger (przerywając). Jestem Krüger.

Walter. Krüger? Przecież nie C. Krüger.

Krüger. Owszem tak się nazywam.

Walter. A więc to pani jesteś? (wyjmując list z kieszeni) Więc to pani pisałaś ten list?

Krüger. Tak jest, ja.

Walter (na stronie). To zabawne. Ładne dziewczę, zamiast sztywnego pedagoga (spostrzegając pomieszanie panny Krüger mówi do niej). Otóż więc, jak się pani przekonać może, na jej przyjęcie byliśmy przygotowani. Pan radca mówił o pani z wielkiem współczuciem opłakując szczerze śmierć jej brata.

Krüger. Byłam tego pewną, że z rzewnem uczuciem powie „a re pia anima." O pan radca jest tak dobry.

Walter. Czy znasz go pani?

Krüger. Tak jest, czytałam wszystkie jego listy do brata pisane?

Walter. Pani mówi i po łacinie?

Krüger. Tak, to już taki mój zły zwyczaj, z powodu którego bywam często wyśmiewaną. Matka moja odumarła mnie, gdym miała lat sześć, byłam więc przez ojca wychowaną, a ojciec mój był znanym uczonym.

Walter. A więc to z nim pani rozmawiałaś po łacinie?

Krüger. No, tak, po łacinie. Otóż tym sposobem nie przyswoiłam sobie niestety umiejętności kobiecych, domowych zajęć. Mieliśmy starą gospodynię, która wszystkiem się zajmowała, ja zaś nie miałam przyjaciółek, bo ojciec mój nienawidził towarzystwa dzisiejszego kobiecego świata i trzymał mię w odosobnieniu. Ztąd też przykre dzisiejsze moje położenie. Rząd nie zgodzi się na to bym zajęła katedrę profesorską w jednem z niższych gimnazyów, pomimo że mój ojciec uznał mnie za najzupełniej uzdolnioną do tego.

Walter (na stronie z uśmiechem). Nie wątpię że gimnaziści zgodziliby się ze zdaniem ojca pani, tymczasem chciej się uspokoić i bądź pewną, że radca polecił mi podczas jego nieobecności przyjąć panią jak najlepiej.

Krüger. Bóg zapłać za to poczciwemu radcy, lecz czy młoda pani baronowa jest w domu? Chciej pani poprowadzić mnie do niej.

Walter. Pani baronowa?

Krüger. No, tak—przecież baron ożenił się już od czterech tygodni.

Walter. A tak w istocie (jąkając się). Lecz pani baronowej, niestety nie ma tutaj....

Krüger. Nie ma jej? Co za nieszczęście! W takim razie muszę niezwłocznie oddalić się, gdyż nie wypada bym dłużej tu pozostała kiedy baronowej nie ma.

Walter. Przeciwnie, cóż to szkodzi, przecież ja tu jestem. Byłam przyjaciółką zmarłej matki pana radcy, sądzę więc że pani masz we mnie dostateczną opiekę.

Krüger. Nie przeczę, lecz cóż powie pani baronowa za powrotem swoim: zastając tu młodą nieznaną sobie osobę, która nadto bez jej wiedzy w domu jej męża szuka schronienia.

Walter (na stronie). Hm! jeżeli teraz powiem, że radca nie żonaty, to mi ucieknie a przecież nie mogę na to pozwolić, by to młode stworzenie w nocy dom opuszczało. (głośno) Bądź pani spokojną, pan radca zaprosił panią do siebie, będąc panem w swoim domu, jutro rano rozmówi się z panią i zapozna cię ze swoją żoną.

Krüger. Ha! w takim razie pozostanę i cierpliwie oczekiwać będę postanowienia pana radcy.

Walter. Dla czego była pani zmuszoną opuścić dom swoich krewnych?

Krüger. Bo ciotka moja gwałtem chciała mię wydać za brata swego, fabrykanta cykoryi, człowieka nieznośnego, brzydkiego, starego i obrzydliwego.

Walter (całując ją w czoło). O biedne dziecię.

Krüger. Wtedy rzekłam stanowczo z łacinnikiem: „Niech mnie chronią bogowie" i napisałam do radcy jako mej ostatniej jedynej ucieczki. Z listów barona pisanych do brata mego powzięłam do niego nie wysłowione zaufanie. On taki dobry!... żona jego musi być z nim bardzo szczęśliwa.

Walter (z pomieszaniem). No!... tak... tak... lecz chodź pani (bierze ją za rękę i prowadzi do drzwi po lewej stronie). Oto jest pokój gościnny—tu znajdziesz wszystko czego ci potrzeba (oglądając się po pokoju) ale gdzie są pakunki pani?

Krüger. Mały kuferek z rzeczami zostawiłam w zajeździe wioski najpierwszej, z zajazdu zaś przyszłam tu pieszo, przyniósłszy z sobą w torbie to, co mi najgwałtowniej potrzebne.

Walter. O jakżeż pani musisz być zmęczoną: spocznij więc, a ja tymczasem pośpieszę z przygotowaniem dla niej wieczerzy, którą przyślę tu.

Krüger. Czyż mam sama wieczerzać? (z przymileniem). Czyż pani nie zechcesz mi towarzyszyć?

Walter. Owszem przyjdę, lecz nie czekaj pani na mnie, jesteś pewnie głodną i spragnioną a ja mam niektóre rzeczy do załatwienia (wychodzi).

SCENA V.

Krüger

zdejmuje kapelusz i wynosi go wraz z torbą i parasolikiem do pokoju gościnnego, wracając poprawia włosy przed lustrem.

Krüger. Co to za miła osoba ta panna Walter. Smutek który ogarnął mię z chwilą przybycia do tego domu, rozproszony został uprzejmemi i serdecznemi jej słowami (po chwili milczenia). Co do radcy, to ten przyjmie mnie uprzejmie i przyjacielsko. Jednak mimo tego drżę na myśl że on każdej chwili przybyć może i to wraz z żoną, która Bóg raczy wiedzieć jak mnie przywita.

(*d. c. n.*)

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Młodzi zamilkli nagle, pomieszani i nie śmiejąc spojrzeć na siebie.

Prosper powtórzył pytanie.

Władysław pierwszy zdobył się na odpowiedź

— Radbym to dziś zrobić, natychmiast szanowny panie, odezwał się, gdybym otrzymał twoje pozwolenie i gdyby okoliczności nie sprzeciwiały się temu.

— I jakież to okoliczności, jeźli wolno zapytać?

— Bardzo ważne. Dziś nie mam odpowiedniego utrzymania, które zdobyć zamierzam własną pracą. Stolarstwo nie jest mi obce, douczam się go i jak tylko odbiorę skromną sumkę z posagu matki na mnie przypadającą, wyjadę za granicę dla zupełnego udoskonalenia się w obranym zawodzie, a potem założę fabrykę stolarską i mam nadzieję że ją zdołam prowadzić nietylko z własnym pożytkiem ale i całego kraju, który wiele jeszcze wydaje na meble za granicą kupowane.

— Zamiar bardzo piękny i nic przeciw niemu powiedzieć nie mogę. Ale to kochany panie praca wielka a do niej nie jesteś przyzwyczajony...

— Już prawie pół roku odaję się jej, przerwał Władysław, a jednak nie tylko mi się nie przykrzy ale przeciwnie nabieram w niej coraz większego zamiłowania.

— I to wszystko dla mojej biednej Zosi?

— Tak jest szanowny panie, ale i kraj cały mam na widoku.

— Kraj cały.

— Tak jest panie. Chcę jeden z jego przemysłów podnieść, udoskonalić, chcę stać się przykładem dla tych, którzy w bezczynności marnotrawią dochody z mienia swoich przodków bez żadnej dla kraju korzyści. Pragnę wyrwać ich z zaczarowanego koła życia bez celu i wskazać go jako jedynie ich i całej społeczność uszczęśliwiającego; pragnę wreszcie przez powołanie do pracy nie zajmujących się nią dotąd, położyć tamę zazdrości powstającej w tych, którzy na chleb powszedni pracować muszą w pocie swego czoła. Przykład z góry dany, będzie niezmiernie zbawienny. Pojęcie godności pracy rozszerzając się coraz bardziej, przejdzie i do warstw najniższych, podniesie ogólną moralność, uszlachetni, uzacni i najwięcej się przyczyni do osłabienia a nawet zupełnego zniszczenia socyalizmu, będącego wrzodem społecznym, jego postrachem i nieszczęściem. A stanie się to jak Bóg Bogiem, gdy możniejsi poznają że za wiele mają na swoje istotne potrzeby, a ubożsi że nie są wyzyskiwani, że brak im nie dokucza, że życie ich nietylko jest wygodne ale uprzyjemnione, i że wreszcie mają pewność odpoczynku gdy bezsilność starości domagać się tego będzie. Nad rozwiązaniem tej palącej socyalnej kwestyi, pracują dziś najpotężniejsze umysły całej Europy, i nie mogą dojść do praktycznych rezultatów. Widocznie nie zwrócono uwagi, że powodem jej powstania stała się z jednej strony nędza do rozpaczy doprowadzona, z drugiej strony zbytek do szaleństwa dochodzący. Dziś na szczęście wolni jesteśmy jeszcze od tej piekielnej furyi, która we Francyi wywołała komunę i wszystkie jej zbrodnie zgrozą przejmujące całą ludzkość, obowiązkiem też naszym starać się zawczasu, aby nas kiedyś nie napadła. Jedynym na to środkiem, uregulowanie stosunku między nędzą a zbytkiem, nie przez prawo pisane ale przez obyczaj we wszystkich wszczepiony. Gdy wszystkim będzie dobrze względnie do potrzeb istotnych z wychowania i oświaty wypływających, niezadowolenie nigdy nie powstanie a wybryki zbyt niespokojnych z łatwością dadzą się ukrócić. Oto myśl moja której urzeczywistnienie wziąłem za zadanie mego życia, i nie porzucę jej aż także wraz z życiem swojem. Założę fabrykę, poświęcę się pracy jak zwykły czeladnik, później jako jej dyrektor, założę towarzystwo ograniczenia zbytku, ukochania pracy, rozumnego uprzyjemnienia życia, szukania szczęścia w spokoju sumienia, na drodze zarówno przez Boga wskazanej jak i przez rozum z woli Jego w nas wlany, i tym sposobem przyczynię się do rozwiązania kwestyi trapiącej dziś całą ludzkość.

Sama myśl o tym rozwoju społecznym w kierunku przeze mnie powziętym, napełnia mnie takiem szczęściem, że go nawet wysłowić nie umiem, cóż dopiero będzie gdy zobaczę owoce ztąd wyrastające gdy nabiorę przekonania żem pierwszy przyłożył rękę do tak pięknego dzieła! Żeby się jednak wszystko to stało, potrzebną mi jest taka towarzyszka życia jaką mi Bóg w pannie Zofii wskazał. Bez niej czuję, że byłbym bezsilny...

Młodzieniec umilkł, zapał ożywiał mu lica, oczy błyszczały wewnętrznem wzruszeniem. Zosia z uwielbieniem patrzyła w ukochanego. Prosper przeszedł się po izbinie, zatrzymał się przy okienku na sklep dającem widok, pomruczał, postukał w tabakierkę i zwracając się do młodzieńca rzekł:

— Pięknie mówisz panie Władysławie, i rozumnie i poczciwie; ale na co ci tu Zosia potrzebna, tak biedna jak ona panienka kiedy mógłbyś...

— O! szanowny panie! Przy niej i przez nią myśl którą ci przedstawiłem, objawiła się w mojej głowie jakby promień prawdy Bożej tak usilnie niemal przez ludzi odpychanej. Ukochałem ją, przywiązałem się do niej całą moją duszą, czyż mogłem równie nie ukochać tej, przez którą łaska Boża spłynęła na mnie. To też panna Zofia i myśl moja stanowią jakby jedną istotę. Rozdział ich jest niepodobny... jam nie tylko sercem ale i myślą jestem z nią złączony... straciwszy ją... zostałbym trupem w duchu moim.

Młodzieniec przycisnął rękę Zosi, w oczach jego błysło rozrzewnienie, Zosia z niemniejszem wzruszeniem spojrzała na młodzieńca i wzniosła dziękczynnie oczy.

Prosper pokręcił głową i choć to wszystko było dla niego niepojęte, z czuciem jednak poglądał po Zosi i Władysławie.

— Zawsze to jednak strasznie dziwne, odezwał się po chwili. Ty panie Władysławie syn bogatego pana, porzucasz wszystko, mienie, dostatki, rodzinę, przyjaźnie, znajomości, bierzesz się do ciężkiej pracy i dla czego?

— Tak panie, porzucam i to nietylko bez żalu ale z radością nawet...

— Ale czy kiedyś nie będziesz żałował swego poświęcenia?

— Jakto, zostawszy szczęśliwym, miałbym żałować czynu który mnie uszczęśliwił? Ja panie wierzę w mądrość i miłość Boga Niepojętego i wierzę

w stary rozum ojców naszych twierdzących, że mąż i żona od Boga przeznaczona. Jam tu nie działał, tylko byłem posłuszny, a będąc takim, czy można przypuścić abym kiedyś mógł żałować swego posłuszeństwa?

— Pięknie ani słowa, odezwał się Prosper ze zwieszoną smutnie ku ziemi głową. Kto z Bogiem to Bóg z nim. Moje dzieci...

Prosper nagle przerwał, ręka wyciągnięta opadła, zerwał się z siedzenia i szybko stanął przy okienku w drzwiach do sklepiku prowadzących. Kiedy Zosia przysunęła się do niego starzec płakał i nie mógł słowa przemówić.

— Płaczesz wuju kochany? zapytała Zosia. Czyżbyś się na nas pogniewał?

— O! nie moja dzieweczko kochana, rozrzewniłem się zwyczajnie jak stary. Żal mi wszystkiego i wszystkiego się boję .. znów zostanę samotnym a ja cię tak ukochałem...

— Wuju! mój ojcze kochany! zawoła Zosia z przejęciem, nigdy się z tobą nie rozdzielę, czyż mogłabym tak być niewdzięczną!...

— A ja tak złym, domówił Władysław, dla tego co stał się dla mojej Zosi drugim ojcem.

— Dzieci, moje dzieci kochane! odezwał się starzec wyciągając ręce, niech was Bóg błogosławi i wspiera cudowną swoją opieką. W ostatniej chwili żywota mego błogosławieństwo dla was będzie ostatniem mojem słowem, modlitwa o wasze szczęście, ostatnią moją myślą... kochajcie mnie... radbym wam być ojcem...

— A ja twoim synem! zawołał wzruszony Władysław.

Zosia usunęła się na kolana, Władysław poszedł za jej przykładem, usta ich spoczęły na rękach starca, głowy pochyliły się... Prosper modlił się, lica perliły się łzami, a w izdebce zapanowała cisza jak w duszy człowieka co żyje z Bogiem i sercem w Nim tonie.

Rozdział XXXIV.

Kiedy chwilowe nieporozumienie w izdebce pana Prospera, rozwijało się aby dojść do tak pięknego z zadowoleniem wszystkich zakończenia, Jan ze Stanisławem wyszedłszy z kościoła, wstąpili do pobliskiej cukierni i kazali podać sobie czekolady. Stanisław rzucił się na kanapę w postaci zmęczonego panicza, Jan usiadł przy nim na krzesełku.

— Wiesz co mój Jasiu, odezwał się, że zbyt wytwornym gustem nie grzeszysz. Ta twoja piękność na obejrzenie której aż tu mnie sprowadziłeś... to tak sobie, jak to mówią, niczegowata. Buziaczek dość ładny, figureczka jak u skowronka...

— Uroczą jest, zachwycającą, przerwał Jan z zapałem.

— Ej! przesadzasz, młodość i piękne oczy całą jej krasą, ale to jak pyłki, dmuchniesz a ulecą bezpowrotnie...

— Przy niej mówił Jan w zamyśleniu, jakby nie zważał na zrobioną uwagę, zdaje mi się żebym ożył...

— Czyż umarłeś?

— Albo ja wiem!

— Wygadujesz mój drogi jak w gorączce.

— Być może że jestem w gorączce, odrzekł Jan ze smutkiem, bo czuję nieraz, jak w sercu czy w piersi, coś mnie ściska, dusi... dławi... rozsadza głowę...

— To na to jest doktór i apteka.

— Radziłem się nic nie pomogło. Zdaje mi się że to dusza we mnie chora.

Stanisław rozśmiał się.

— Jeszcze o takiej chorobie nie słyszałem nigdy, ale jeżeli jest prawdziwą, to pójdziemy do Głowacza albo Łepaka, zwołamy całą czeredę jego pozytywną na konsylium...

— Oh! nie! przerwał Jan podnosząc rękę z przestrachem. Ogarnia mnie do nich jakiś wstręt... boję się... boję...

— Ale ty Jasiu, widzę na prawdę jesteś chory. To widocznie ulanie żółci...

— Zdrów jestem, nic mi nie dolega, tylko tam wewnątrz... przerwał Jan chwytając się za serce, jakaś próżnia... stan jakiś niepojęty dla mnie, dziwna trwoga... radbym uciec sam przed sobą, a nigdzie ratunku...

— To ci się tak zdaje, dukat wszystkiemu umie zaradzić...

— Mylisz się Stasiu. Serca nie kupisz za pieniądze.

— Bajki! Sto buziaków najpiękniejszych stanie na twoje usługi.

— A ja szukam serca, mówił dalej Jan, któreby mnie ukochało, zlało się z mojem i wypełniło tę próżnię która mi tak dolega...

— Bardzo pięknie, szukaj a znajdziesz, w Warszawie piękności nie brakuje.

— Już znalazłem, Zosia jest tą którą szukałem i muszę być do domu jej opiekuna wprowadzony.

Stanisław parsknął śmiechem i zerwał się z kanapy: Jan spojrzał na niego zdziwiony.

— Stałeś się już widzę pozytywnym, co mnie cieszy niewymownie, odezwał się Stanisław kładąc rękę na ramieniu swego pupila. Ale wyprawy podobne wymagają zręczności jakiej nie posiadasz, a wówczas guz pewny...

— Nie rozumiem cię, przerwał Jan podnosząc ramion. Przecież starającym się o rękę panny nie odpowiadają guzami, choćby...

— To starającym się, ale przecież ty nie myślisz zostać konkurentem do ręki i serca panny ptasiarki.

— A to dla czego?

Stanisław zrobił wielkie oczy.

— Czyś zwaryował? zawołał. Dziewczyna głupia jak stołowe nogi i w posagu zapewne dostanie czterech szczygłów i dwa gile.

— O posag nie dbam, mam własną wioskę i opiekę bogatego stryja, to cóż mnie posag może obchodzić?

— Bredzisz widocznie w malignie, muszę twój puls wybadać.

— Gdybym był pewny jej serca, jakżebym się uczuł szczęśliwym.—Odrodziłbym się.... otrząsnął ze wszystkich smutków i niepewności które mnie tak staraszliwie dręczą.....

— A więc kochaj się w Zosi, nawet szalej za nią, to z małżeństwem nie ma żadnego związku.

Jan wpatrzył się w Stanisława.

— Nie rozumiem! odrzekł po chwili.

— Ah! ty prostaczku sielankowy, nie mogący się żadnym sposobem wydobyć ze śmieciska przeszłości pleśnią okrytego.

Jan zarumienił się: wszelkie przypuszczenie nieznania nowych teoryi, któremi oblepiano go codziennie jak babę wielkanocną cukierkami, drażniło go i zawstydzało. Spojrzał na Stanisława pytając.

— Cóż takiego?

— Mój Jasiu, czyż nie wiesz, że żonę, pojmuje się ze zwyczaju dla świata i ludzi: w domu jest się mężem za domem wolnym człowiekiem, bo inaczej małżeństwo byłoby niewolą nie do wytrzymania. Rozumiesz?

— Rozumiem! potwierdził Jan z coraz większym podziwem. Czuł biedak że go jakiś nieznany dotąd chłód przejmuje, zdawało mu się, że ze świata jakaś niewidzialna ręka ostatnią zdziera zasłonę, że z pod jej prześlicznej tkanki i przędzy miłości, czaru i uroku, wychylają się jakieś wstrętne twarze, ożywiające się jedynie brzękiem złota sypanego hojnie dłonią żywych szkieletów, w rozwoju do człowieczeństwa uschłych w połowie drogi, jak trawa wyrwana kopytem bydlęcia.. Stanisław wrażenia tego nie mógł odgadnąć, a widząc że ma pilnego słuchacza, że go ledwo nie połknie oczami, mówił dalej:

— Małżeństwo, mój kochany, niczem więcej nie jest tylko spółką dwóch osób aby im lepiej było na świecie. Powinno być więc zawierane z rozwagą i zastanowieniem, z wielką przytomnością jak każdy interes w którym pomieszcza się całe swoje mienie. Miłość jest szałem, chorobą napadająca w chwili dojścia do zupełnej dojrzałości, wypływem siły nie pozwalającej życiu na ziemi zaginąć. Przy zawieraniu zatem małżeństwa powinna być usuniętą, zupełnie nawet wzbronioną, bo pod wpływem szału, działającej na nas choroby i sił natury, człowiek przestaje być wolną istotą i musi koniecznie kapitalne uciąć głupstwo, jak ty na przykład, któremu się zachciało gwałtem z Zosią ożenić, dla tego że buzię ma jak kwiatek, a oczy do błękitu podobne. Wolny wybór to jedyne prawo mądrej natury, wiedząc że gusta zmieniają się. Dlatego stworzenia choć łączą się w pary, to kontrakta ich małżeńskie rok tylko trwają, jak tego dowodzą świeże naukowe zdobycze. Jest to naturalny rozwój który głupia stara ludzkość odepchnęła, a młoda wprowadza w wykonanie, bo nie ma tej zarozumiałości co starzy, aby się sprzeciwiać mądrym natury postanowieniom. Ona jedynie rozwiązuje wszystkie trudności, praw jej słuchać każdego jest obowiązkiem a nie własnych mrzonek, które już takiego nasiekały bigosu że ludzkość dławi się i bliską jest uduszenia. Wyratuje ją jedynie pozytywizm, my pozytywiści co widzimy to, czego stare niedołęgi nawet się nie domyślają.

Powoływanie się na naukę, choć zwykle bez ładu i składu, była ostatnią instancyą w dowodzeniach Stanisława, gdy nie wiedział jak się z nich wykręcić. Jan wysłuchawszy wszystkiego, uczuł że mu nowego wbito sęka, równie twardego jak dawniejsze. Westchnął też, zmarszczył się, co zobaczywszy Stanisław rzekł powstając:

— Chodźmy Janie. Baw się kochaniem tak długo jak ci się spodoba, rachuj zawsze na mnie i bądź pewny, że tak wszystko poprowadzę, iż w sercu Zosi i w jej oczach będziesz mógł czytać jak w książce. Podobne sprawki w pewnej tajemnicy prowadzone, nietylko nie ubliżają ale nadają lustr bardzo pożądany. Szczęśliwy człowieku, w wielu obudzisz zazdrość, zobaczysz jak to ślicznie poprowadzę, jak mi będziesz wdzięcznym...

— Jakże więc zamyślasz zrobić?

— Później ci powiem, gdy wszystko będzie gotowe. Tylko żadnych z twej strony starań do zapoznania się bliższego z panienką tak efektownie na ciebie działającą, a nawet przyrzecz mi że wszelkich wędrówek do rzucenia na nią choćby okiem zaprzestaniesz, bo to mogłoby wszystko popsuć.

U Prospera dzień ten dla młodych przeszedł jak jedna chwila. Miłość jaka ich już łączyła, nietylko wyszła bez szwanku, ale wzmocniła się i doszła do potęgi przedtem im nieznanej. Uczuli się nawzajem godnymi siebie. To też rozmowa ich nie miała końca, tyle mieli sobie do powiedzenia, tyle zrobić wymówek, objaśnień, tyle wreszcie opowiedzieć szczegułów po rocznem z sobą prawie nie widzeniu się.

Prosper niby czytał przyczajony w kąciku sypialnym, ale słuchał pilnie o czem młodzi gwarzą; i chrząkał, mruczał dziwiąc się że mogą się nieraz

zbyt błachemi zajmować przedmiotami. Wieczorem, po zmniejszeniu upału, poszli na przechadzkę na Pragę, tam siedząc w ogródku przy kufelku piwa, Władysław rozwijał dalsze swoje plany, oświadczył że za dni parę wyjechać musi po odbiór cząstki przypadający na niego z posagu matki, że najdalej za tydzień powróci i potem zaraz wybierze się za granicę.

Parę tych dni przebiegło szybko: Władysław wyruszył w drogę i przyrzekając jak najprędzej powrót, prosił Zosi, aby zaprzestała pracy u pani Mikłockiej narażającej ją na dalekie na Pragę wyprawy.

— Boję się, mówił, aby cię nie spotkała jaka nieprzyjemność. Nasza młodzież pozytywna, o tyle jest powściągliwą w postępowaniu o ile lęka się policyi. Nie wychodź też nigdy sama na ulicę.

U panien Mikłockich jak wiemy, praca dla Zosi nie była niczem wynagradzaną. A Zosia chciała koniecznie zarabiać, pragnęła uciułać choćby na najskromniejszą wyprawkę, choćby na przystrój ślubny.

Fundusze Prospera były bardzo skromne, najmniejszy wydatek nieprzewidziany już był dla niego wielkim ciężarem, cóż dopiero poniesienie wydatków na wyprawkę i wesele. Pragnęła zatem o ile możności sama sobie wystarczyć, ale wykonanie nie pokazało się tak łatwem jak się jej zdawało.

Zaraz po wyjeździe Władysława, udała się do znajomej sobie panny świeżo przyjętej do jednego z większych magazynów, aby się z nią naradzić i prosić o pomoc.

— Ah! moja Zosiu, odrzekła przyjaciółka, w czem mogę ci poradzić, kiedy sama sobie nic zrobić nie mogę. Praca we wszystkich szwalniach i magazynach nadzwyczaj jest licho wynagradzaną. Za dzień cały od dziewiątej rano do siódmej wieczorem płacą groszy dwadzieścia, złotówkę a najwyżej czterdzieści groszy. Większe wynagrodzenia dawane są tylko wyjątkowym pracownicom, szczególniej uzdolnionym a taką nie każda z nas być może. Można także zarobkować po domach prywatnych; nie wiele w nich wprawdzie więcej płacą ale jeść dają co już wiele znaczy. Trzeba jednak mieć bardzo wiele znajomości, aby roboty nigdy nie brakło.

Zosia nie chcąc i nie mogąc zostawiać wuja samego przez dzień cały, nie mogła się podobnym rodzajom pracy poświęcić: najzręczniej byłoby brać do domu obstalunki ale zkąd ich dostać? Siedząc w sklepiku właśnie myślała nad tem, gdy weszła do niego jakaś nieznajoma pani, już niemłoda, bardzo starannie nawet kosztownie ubrana, niezmiernie ugrzeczniona, z oczami czarnemi jak aksamit i z czarnemi loczkami przy twarzy poprzecinanemi cienkiemi paseczkami siwych włosów. Przeglądając klatki, przypatrując się ich mieszkańcom, ciągle coś do nich mówiła pieszczotliwym głosem, chwaliła, podziwiała, zakładała pomiędzy szczeble kawałki ciastka lub cukru i tak się tym drobiazgiem zajęła, że nawet nie dostrzegła przybycia Prospera. Oświadczyła wreszcie że szuka papugi z małego gatunku mało co większej od gila, z czego zawiązała się rozmowa o ptactwie i jego przymiotach powstrzymywana z wielką przyjemnością przez Prospera.

— Pani dobrodziejka, rzekł w końcu, zna się widać na ptactwie, ale ja tylko swojskiemi handluję ptakami, bo obce wielkiego wymagają zabiegu. Delikatne to, wybredne w jedzeniu, a jakieś takie czupurne że się nie można do niego przywiązać.

Nieznajoma pani zgodziła się na to twierdzenie, powiadając, że papużki tak upragnionej nie szuka dla siebie tylko dla swojej siostry, której chciała na dzień imienin zrobić niespodziankę. Prosper radził sprowadzić ją z zagranicy, nieznajoma oświadczyła że pójdzie za jego radą, podziękowała za objaśnienie i kiedy miała wychodzić nagle zwracając się zapytała Prospera, czy nie zna jakiej panny umiejącej szyć pięknie i pewnej co do powierzenia jej roboty?

— Robotnic wprawdzie nie brakuje, dodała, ale chciałabym znaleść godną pod każdym względem zaufania, abym i z roboty była zadowolona i miała pewność, że przyzwoitej panience przyszłam z pomocą. W dzisiejszych czasach pod tym względem nie można być dość ostrożną. Świat tak zepsuty.....

Prosper wiedząc o staraniach Zosi, przedstawił ją nieznajomej pani, która z wielkim to przyjąwszy zadowoleniem oświadczyła, że siostra jej ma bardzo wiele roboty gdyż wydaje córkę za mąż, a ona niemniej wiele stosunków, będzie więc mogła nastręczyć jej bardzo przyzwoity zarobek.

Zosia uszczęśliwiona wynalezieniem tego czego tak bardzo pragnęła nie posiadała się z radości. Przyjść własną pracą do jakiej takiej wyprawki, dać dowód Władysławowi swej pracowitości i oszczędności, było to w jej przekonaniu coś tak pięknego że nic już więcej życzyć sobie nie mogła.

— On pracą tak mu obcą, tak nieodpowiednią jego położeniu, myślała sobie, chce pracować na nasze wspólne utrzymanie, niechże wie że znalazł godną towarzyszkę swego życia, która mu w posagu przyniesie największe skarby, pracę, oszczędność i zamiłowanie skromności. Wszystko jednak będę trzymała w największej tajemnicy, nie zmitrężę ani chwilki i dopiero w dniu naszego szczęścia z dumą pokażę mu owoce mego zabiegu. Jakże się ucieszy.

(*d. c. n.*)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dokończenie).

W owym czasie, w pobliżu miasteczka Leoben, znajdował się szynk piwny należący do niejakiego Jerzego Steinbek. Jerzy był zawsze w dobrym humorze, wesoły, jowialny, usłużny, słowem jeden z tych gospodarzy zakładu których typ już prawie zaginął. Litościwy i dobrego serca, Jerzy pozwalał wchodzić do swego ogrodu ubogim studentom i muzykantom, gdzie mogli oni z korzyścią popisywać się ze swoim talentem, gdyż zawsze dużo tam było gości, przynęcanych uprzejmem przyjęciem, dobrem piwem i dobrą muzyką.

Lecz największym może wabikiem była uprzejmość i usłużność pięknej Berty, córki Jerzego. Skończyła właśnie lat ośmnaście, a była biała i różowa jak krew z mlekiem, żywa i wesoła jak skowronek. Od śmierci matki sama zarządzała domem i była wzorową gospodynią

Już nie jeden bogaty młodzian z Leoben prosił o rękę pięknej Berty, ale odmawiała wszystkim, nie chcąc iść za mąż bez miłości.

Kochała ona zacnego młodzieńca, towarzysza lat dziecinnych, który musiał jechać do Węgier, gdzie zachorowała jego ciotka. Imię mu było Andrzej; miał ręce tak zdolne do pracy jak serce do kochania.

Było to w miesiącu maju. Pewnego dnia, przed wieczorem, gdy już pełno gości było w ogrodzie, wszedł do niego dwudziesto-kilko letni młodzieniec, z ogorzałą twarzą, z czarnemi oczami, z długiemi wijącemi się włosami. Trzymał w ręku harfę przewieszoną przez ramię; ubrany był dość starannie, a kaftan aksamitny obciśnięty w pasie czerwonym skórzanym pasem, uwydatniał jego zręczną i kształtną postawę. Skłonił się grzecznie obecnym i po krótkiej przegrywce zaczął śpiewać z towarzyszeniem harfy. Miał głos silny, dźwięczny, wnikający do duszy, to też goście nagrodzili go głośnym oklaskiem, a gdy wszedł pomiędzy nich z kapeluszem w ręku, spadł w niego grad miedzianej monety. Powróciwszy na swoje miejsce, ujrzał Bertę przynoszącą mu kufel spienionego piwa; zaczerwienił się biorąc go z jej ręki i pijąc nie spuszczał oczu z dziewczyny.

— Dziękuję, rzekł, oddając kufel wypróżniony, a Berta czuła odbierając że ręka jej zadrżała.

Zaśpiewał jedną jeszcze miłosną balladę a że noc zapadała, słuchacze zaczęli się rozchodzić prosząc aby przyszedł jutro.

Przechodząc koło Berty, ukłonił się jej z uszanowaniem, i kładąc rękę na sercu rzekł wzruszonym głosem: „Do widzenia!“

Pochyliła głowę aby ukryć twarz zarumienioną, a gdy weszła do swego pokoiku, zdawało jej się że śpiewak ów ciągle stoi przed nią, ale nie pojmowała czemu wydaje jej się że pas jego z czerwonej skóry był krwią zbryzgany.

Przyszedł znów nazajutrz, zgodnie z danem przyrzeczeniem, a śpiew jego silniejszy niż wczoraj wstrząsał sercami słuchaczy. Berta odsunęła się na bok aby otrzeć łzy końcem fartuszka i tej nocy oka zamknąć nie mogła; wstała rano kiedy wszyscy spali jeszcze i zeszła do ogrodu. Jakież było jej zadziwienie gdy nagle o parę kroków przed sobą ujrzała młodego śpiewaka; stał wsparty o drzewo, z założonemi na piersiach rękami.

— Co tu robisz? zapytała zmieszana.

— Czekałem na ciebie, odpowiedział.

— Czekałeś na mnie?

— Tak Berto, bo kocham ciebie; sława twej piękności doszła aż do mnie, i chciałem naocznie przekonać się o tem. Jesteś stokroć piękniejszą niż mogą dać o tem wyobrażenie oddawane ci pochwały, jedno twoje spojrzenie stanowczy wpływ na życie moje wywarło. Wszak wyczytałaś w moich oczach, poznałaś po moim śpiewie jak bardzo cię kocham. Nic nie zdoła przytłumić ognia jakim zapłonąłem dla ciebie... nie jestem, jak się wydaję, ubogim wędrownym śpiewakiem; jestem bogaty i potężny, mieszkam w pałacu jakiego żaden książę nie posiada... Słuchaj, Berto, rzekł nachylając się ku niej, czy chcesz pójść ze mną aby zostać moją żoną? Bylibyśmy tak szczęśliwi!...

Berta płakała.

Ujął zwolna jej rękę, wysunęła mu ją prędko, mówiąc:

— Oddal się proszę; nie mam już prawa rozrządzać sobą... jestem zaręczona!...

I uciekła do swego pokoiku, i tam padłszy na kolana zamodliła się tak głęboko i tak długo, że aż ojciec przysłał po nią.

Po południu znów pełno było osób w ogrodzie Steinbek'a, ale młody śpiewak nie przyszedł.

Przez cały ten dzień Berta była smutna i roztargniona, a gdy goście się rozeszli odetchnęła swobodniej i siadła na ławce z głową wspartą na dłoni. Obudził ją z zadumania jakiś kulejący biedak który zawołał na nią po imieniu.

— Czego chcesz? zapytała.

— Przynoszę wiadomość, ale wiadomość smutną.

— Jaką?

— Ale panienko, nie trzeba płakać; przy troskliwej opiece po kilku dniach wypoczynku ani śladu nie będzie.

— Ale mówże o co chodzi! zawołała zniecierpliwiona.

— A więc on przybył...

— Kto?

— Andrzej!

— Andrzej!... mój narzeczony!... zawołała zrywając się z ławki... Ach! dzięki niebu! modły moje zostały wysłuchane... Ale gdzież on jest... Dla czegóż sam nie przyszedł cieszyć się moją radością.

— Powiedziałem że jest ranny.

— Ranny? Gdzie?... Jakim sposobem?

— Spotkał się z Czerwonym dyabłem i bronił się dzielnie:

— Ale gdzież on jest?... Mów przez litość!

— Tu blizko w małej chałupce, przy wejściu do lasu.

— A więc prowadź mnie zaraz do niego; jutro jak tylko dzień zaświta każę go tu przenieść.

Kulawy szedł przed Bertą jak mógł najśpieszniej; weszli do lasu, lecz w tejże chwili mężczyzna jakiś zaszedł z tyłu, objął wpół Bertę i silnie do siebie przycisnął.

— Co to jest! krzyknęła, puść mnie... czego chcesz ode mnie.

— Czego chcę?... chcę abyś została żoną moją, Berto;... wszak powiedziałem ci że cię kocham.

Zadrżała poznawszy po głosie młodego śpiewaka.

— Przez litość! puść mnie, narzeczony mój jest umierający...

—Twój narzeczony?... myślisz że jest ranny? uspokój się... zmyśliłem tę bajkę aby cię tu przywabić; skoro nie chciałaś dobrowolnie, teraz musisz iść ze mną... Nigdy nie wypuszczam z rąk zdobyczy... jestem Czerwony Dyabeł.

Berta krzyknęła i padła zemdlona; bandyta pochwycił ją w objęcia i wsiadł na konia którego podał mu kulawy.

Gdy nazajutrz rozeszła się wieść o zniknięciu Berty, ludzie rąbiący drzewo w lesie powiedzieli Steinbek'owi, że widzieli przy świetle księżyca jeźdźca jakiegoś pędzącego co koń wyskoczy; owinięty w długi płaszcz czarny, widać jednak było iż trzymał przed sobą kobietę, której jasne włosy wiatr rozwiewał.

Daremnie strapiony ojciec czynił troskliwe poszukiwania i ogłosił znaczną nagrodę temu kto mu wskaże ślad gdzie się znajduje jego córka; biedak zmienił się do niepoznania, a goście skarżyli się że piwo nie tak dobre jak dawniej.

Wtem Andrzej szczęśliwie powrócił z Węgrzech; ciotka pozostawiła mu małe dziedzictwo — miał gdzie wprowadzić i utrzymać żonę. Stary Steinbek powitał go jak syna:

— Pozostań ze mną, rzekł do niego, będziemy razem płakać za nią!

Upłynęło kilka miesięcy; lato mijało, zaczynały się smutne dni jesienne.

Pewnego wieczora Steinbek i Andrzej smutni siedzieli przed kominkiem, gdy wtem usłyszeli na podwórzu turkot zatrzymującego się wozu; zanim zdążyli dojść do drzwi, otwarły się one z hałasem i młoda dziewczyna rzuciła się w ich objęcia.

Z ust obu jeden wyrwał się okrzyk, jedno imię: Berta!

Tak była to Berta, taka świeża, swobodna, wesoła jak dawniej; opowiedziała im że Czerwony Dyabeł obchodził się z nią z wielkiemi względami, i że udało jej się uciec upoiwszy swych dozorców, właśnie w przeddzień dnia w którym kapłan gwałtem porwany z plebanii, miał połączyć ją węzłem małżeńskim z rozbójnikiem.

We dwa miesiące później, w środku zimy, nakazano na bandytę ogólną obławę, i Andrzej, będący już wówczas mężem Berty, miał tę uciechę że własną ręką zabił Czerwonego Dyabła.

W miarę wspinania się drogi są ogołocone już dziś z drzew wyżyny Semmeringu, krajobraz w co raz wspanialszych przedstawia się ramach. Kilka domów uczepiło się po nad brzegami przepaści, a dwie czy trzy chatki odważyły się wdrapać aż na skraj niedostępnych prawie wyżyn!

Góry cisną się jedna na drugą w wspaniałym bezładzie. Jedne tak niezmierzone że szczyty ich giną gdzieś w obłokach, inne uwieńczyły czoło prostym turbanem z lodu, lub dzikie i groźne strzelają w niebo swym śpiczastym cyplem. Te znów, zgnębione starością, usiłują utrzymać szczątki swej korony strzaskanej piorunem. Niektóre podobne są do zapadłych gotyckich świątyń; z pośród ich gruzów wyłaniają się jeszcze piękne, wielkie dzwonnice, filary i szczątki sklepień; nakoniec w oddali, na mglistym horyzoncie, sterczą znów góry od stóp do szczytu osłonione śniegiem — możnaby je wziąść za fantastyczne widziadła, przesuwające się powoli i milcząco w swych ogromnych białych płaszczach, jak duchy lodnika.

Czy uważaliście, czytelnicy, że gdy czas jakiś zblizka przypatrywać się górom, zdają się żywe przedstawiać postacie. Jedne są dumne, inne wspaniałe, inne zadumane; jedne stoją wyprostowane, inne jakby przykucnięte, te zdają się wypoczywać tamte wojowniczą przybierają postawę, jakby wielka dusza przyrody, każdą odmiennem ożywiała życiem. To też samotnymi w górach nigdy nie jesteśmy, gdyż wszystko tam do nas przemawia, źdźbło trawy, ptak przelatujący, szemrzące źródło, szumiąca kaskada, mruczący strumień, wietrzyk szeleszczący lub ryk wichru, biedny kwiatek zaginiony wśród jałowych skał, chmury unoszące się w przestrzeni jakby dym z fajki olbrzyma, lub też szykujące pośpiesznie czarne swe szwadrony do szalonych harców burzy.

Tu i owdzie, stare sosny, uzbrojone twardą korą nie lękają się szturmów uraganu i sterczą pyszne i posępne niby króle tych samotni. Lubię te poważne i myślące drzewa, przypominające mi smętne lasy rodzinne.

Im wyżej się wznosimy, tem zmniejsza się roślinność; sosny tracą swe okazałe atletyczne kształty, maleją stopniowo aż nareszcie zamieniają się w niedorostki i karły; gałęzie ich wikłają się, pnie kurczą, korzenie skręcają i wiją jak konające gadziny. Smugi chorowitego mchu zastępują trawiaste kępy; jak okiem dojrzeć można nie dostrzegamy nic ludzkiego; ogrom wielkości nas przygniata, jesteśmy jakby maluczkim robaczkiem, niedostrzeżonym atomem w obec niezmierzonej góry, która zdaje się chcieć zgnieść nas jakby lew muchę, a owe ciągnące nas buchające dymem lokomotywy, przybierają w naszych oczach postać jakichś nieznanych potworów zrodzonych w niezgłębionych otchłaniach tych tajemniczych przestrzeni, których prócz nich nikt przebywać by się nie poważył. Zapuszczamy się coraz dalej jakby czołgając się na skraju przepaści, nikniemy w tunelach i znów wydostajemy się na brzegi nowych otchłani. Ileż to trzeba było cierpliwości, ile geniuszu zanim zdołano pokonać niesłychane trudności jakie przedstawiał podbój tej stromej góry.

(*d. n.*)

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Przysłowie francuzkie o stykających się ostatecznościach nigdzie nie znajduje takiego zastosowania jak na wystawie powszechnej. Przedmioty najróżnorodniejsze. które w zwykłych stosunkach życia nie zostają nigdy w zbliżeniu, tutaj rozłożone obok siebie, przenoszą umysł zwiedzającego w coraz inną krainę, wywołując odmienne wrażenia. Przechodząc naprzykład obok pawilonu Schneidera, obejmującego odlewy żelazne, widzieliśmy dawnych wojskowych, patrzących z wyrazem podziwu i uwielbienia na ogromne działo, do przewożenia którego potrzeba było zbudować wóz o szesnastu kołach. Wyrób ten ma posiadać przymioty nieporównane. Pocisk z tego działa, objaśniał jeden z oficerów z twarzą promieniejącą, przebije najsilniejsze okręty pancerne i wraz z całą załogą zatopi je w kilka minut.

— Z całą załogą?—zapytałem ścicha.

— Tak panie, odpowiedział oficer z zapałem, wyłom będzie ogromny, napływ wody nadzwyczajnie obfity i załoga pójdzie na dno prędzej nim dostrzeże grożące niebezbieczeństwo.

O kilkanaście kroków odmienny obraz. Stoimy przed piecykami do sztucznego wylęgania drobiu. Przy odrobinie cierpliwości możemy być świadkami głównych objawów rozbudzanego życia kurczęcia, a następnie okazy tą drogą przybyłe na świat od najmniejszych do największych znajdujemy w odpowiednich ogrodzeniach. Szczególniej zwracały na siebie uwagę malutkie kurczęta, wylęgłe zaledwo przed kilku dniami: widocznie z trudnością przyzwyczajały się do nowych warunków życia.

— Biedne sieroty, mówiła z westchnieniem poczciwa jakaś Francuzka, nie mają nikogo, coby je nakarmił i przytulił.

Dwa widowiska, wywołujące nader różne wrażenia.

Nie mamy jednak czasu do stracenia, bo już wpół do drugiej, a o drugiej koncert ostatni pod kierunkiem p. Rubinszteina. Przechodzimy więc szybko rzekę, patrząc na wspaniały korpus i obszerne skrzydła pałacu.

Słówko o samym gmachu.

Część miasta, zwana Trocadero, była, ściśle wziąwszy, pustkowiem wzgórzystem i nieforemnem, dzielącem właściwy Paryż od miasteczka, a raczej przedmieścia, zwanego Passy. Znaczna dosyć przestrzeń ziemi, leżąca nieużytecznie, była widowiskiem dosyć niespodzianem, a nawet dręczącem umysł niejednego Paryżanina. W jaki sposób spożytkować opisaną miejscowość, było pytaniem podnoszonem od czasu do czasu; dawano w tej mierze rozliczne pomysły bez wprowadzenia takowych w wykonanie. Nareszcie rozeszła się po Paryżu wielka nowina o wystawie powszechnej, a jednocześnie o zbudowaniu wielkiego pałacu na wzgórzach Trocadero, niemającego uledz zniszczeniu, ale przeznaczonego na obchody świąt narodowych i na wykonanie zbiorowe wielkich utworów muzycznych. Zadowolenie Paryżan było wielkie; najsmutniejsza część miasta miała być zamieniona na przybytek sztuki i narodowych wspomnień. Rozpoczęto roboty dnia 4 Listopada 1876 r. i prawie za pierwszem uderzeniem motyki napotkano trudności, niełatwe do pokonania. Rozkopując ziemię dla

zbudowania podstaw pałacowych, napotkano na całej prawie przestrzeni ogromne wydrążenia po dawnych katakumbach i kopalniach. Przez oszczędność chciano oprzeć pałac na dawnych słupach i podmurowaniach; ale te nie przedstawiały bezpiecznej podstawy; wypadało zatem burzyć stare, a wznosić nowe budowle, to też podstawy pałacu, ukryte w ziemi, dochodzą dwudziestu i trzydziestu metrów, a niekiedy równają się swą głębokością najwyższym domom paryzkim. Część pałacu znajdująca się pod ziemią, jest bardzo ciekawą, dając z wielu względów obraz dawnych labiryntów, z powodu niezliczonej liczby słupów, podmurowań, korytarzy, ciasnych przesmyków, prowadzących do wielkich lub małych komnat, przypominających dawne pieczary kościelne. Do liczby przeszkód niemałej wagi należało zapadanie ziemi, wytworzone tym sposobem szerokie i głębokie otwory wypadało zatykać pracami mularskiemi co wymagało i czasu i znacznego nakładu. Silna jednak wola przezwyciężyła wszystko; w dniu oznaczonym pałac przeszedł z rąk budowniczych pod rozkazy zarządu wystawy.

Pałac Trocadero składa się z trzech części choć połączonych ale oddzielnych, to jest z głównego gmachu okrągłego kształtu i dwóch skrzydeł zbudowanych w formie podkowy rozwartej. Długość obydwóch skrzydeł wraz z korpusem wynosi pięćset metrów, a przestrzeń zajęta przez pałac obliczoną jest na piętnaście tysięcy metrów. Korpus obejmuje tylko galerye zewnętrzne i salę przeznaczoną na uroczystości. Sala ta niezaprzeczenie jest największą jaka kiedykolwiek zbudowaną była od czasów rzymskich, ma nadany kształt półkola zakończonego dwoma liniami prostemi z lekka zakrzywionemi. Rozmiary jej są niepospolite, ma pięćdziesiąt metrów szerokości a trzydzieści metrów wysokości, czyli wedle wyrażenia jednego z tutejszych dziennikarzy, sala wielkiej opery mogłaby nietylko przechadzać się wygodnie w sali Trocadero ale nawet i zatańczyć sobie w razie odpowiedniego do tego usposobienia. Może pomieścić wygodnie pięć tysięcy widzów a na estradzie chóry złożone z tysiąca pięćset osób. Ogromny organ przewyższa potęgą swego głosu organy we Fryburgu i w kościele Panny Maryi w Paryżu; miechy jego wprowadzane są w ruch za pośrednictwem machiny hydraulicznej. Kopuła zbudowana na gmachu ma również pięćdziesiąt metrów szerokości a tem samem jest szerszą od słynnej kopuły Ś-go Piotra w Rzymie. Z dwóch jej stron zbudowane są dwie wieże mające od powierzchni ziemi ośmdziesiąt a od fundamentów sto metrów wysokości. Wyższe są one od słynnej rotundy w czasie wystawy wiedeńskiej, mającej siedmdziesiąt sześć metrów wysokości, licząc od ziemi aż do korony cesarskiej i królewskiej włącznie pomieszczonej na wierzchołku. Z Galeryi wieżowej znajdującej się na szczycie widok przepyszny, to też windy służące do przenoszenia w górę zwiedzających są w ustawicznym ruchu. Pomimo nadzwyczajnych wypadków spowodowanych potrzebą zakładania podstaw pałacowych w znacznych głębinach, ogólne wydatki na budowlę nie przenoszą dziesięciu milionów czyli że metr wypada 650 franków, a wiele jest gmachów w Paryżu gdzie metr budowli kosztuje tysiąc dwieście franków.

Wszystkie te jednak szczegóły mają podrzędne znaczenie w obec sali uroczystości narodowych, będącej przedmiotem pychy dla wszystkich Francuzów. Tak w dziennikach jako też w rozmowach wyrażają oni ciągłe uwielbienie dla tego nowego przybytku narodowej chwały; pozyskawszy od czasów Franciszka I-go opinią praktyczności i dobrego gustu, z łatwością upowszechniają swoje wyobrażenia w całej Europie; prawdopodobnie więc i dzienniki zagraniczne i sprawozdawcy polscy piszą o sali Trocadero jako o dziele nieporównanem wywołującem oklask ogólny. Jesteśmy w tej mierze zupełnie przeciwnego zdania.

Bezwątpienia, jeżelibyśmy wymagali od sal przeznaczonych na wielkie zebrania jedynie tylko ozdób wewnętrznych i obszaru, to sala Trocadero nie przedstawia nic do życzenia. Dwa jednak warunki tego rodzaju nie wystarczają, bo trzeba jeszcze dobrze słyszeć mówiących, grających lub śpiewających; trzeba dobrze widzieć osoby znajdujące się na estradzie na zasadzie fizyologicznej o wzajemnem dopełnianiu się zmysłów człowieka, a narescie trzeba odnawiać powietrze w sali bez wielkiej przykrości dla zgromadzenia. O ile budowla odpowiada tym warunkom to okażemy pokrótce.

Sala oświetloną jest przez dziewięć wielkich otworów kabłąkowatych przepuszczających światło dzienne. Na nieszczęście forma sali nie pozwoliła oświetlić zarówno wszystkich jej części, to też estrada zostaje w półcieniu a światło pada głównie na wyższą część amfiteatru. Znajdując się w pewnej odległości widzimy artystów jakby we mgle i nie możemy rozróżnić ich rysów. Okoliczność to nader nieprzyjemna bo na wszelkich przedstawieniach umysł słuchu nie wystarcza, ale koniecznem jest współdziałanie wzroku.

Sposób odnawiania powietrza przedstawia jednę tylko wprawdzie ale nader ważną niedogodność. Dla łatwego oddychania potrzeba w ciągu godziny na jednego widza czterdzieści metrów kubicznych powietrza, a ponieważ sala przeznaczoną jest dla pięciu tysięcy osób, potrzeba więc na godzinę dwakroć sto tysięcy metrów kubicznych powietrza czyli 56 metrów na sekundę. Po raz pierwszy dopiero potrzeba było tak ogromną ilość żywiołu lotnego wprowadzić do gmachu i rozdzielić go należycie po wszystkich jego częściach. Wedle dotychczasowego systemu powietrze sprowadzone do podziemi, wchodziło następnie do sali przez otwory znajdujące się w podłodze a wychodziło przez otwory znajdujące się w sklepieniu. Sposób ten był dobrze obmyślony, bo stosownie do potrzeby można ogrzać lub oziębić powietrze co jest rzeczą nader pożądaną dla zebranych osób.

Panowie Daviono i Bourdais chcąc wytworzyć coś niewidzianego od czasów rzymskich, postanowili urządzić wentylatory w sposób zupełnie odmienny, to jest sprowadzać powietrze z góry przez sklepienie, a wyprowadzać go otworami urządzonemi pod krzesłami osób siedzących. Jako ludzie przewidujący obliczyli wszystko, zwrócili więc uwagę na możliwość przykrycia otworów przez suknie kobiece, zrobili więc jeszcze inne otwory pośrednie pomiędzy krzesłami. Nowy system wywołał następstwa niebardzo przyjemne: wchodzi bowiem do sali powietrze zimne lub gorące odpowiednio do pory roku, a co gorsza nogi siedzących narażone są na ustawiczny przewiew. Niedogodności te w lecie dają się mniej uczuwać, ale za to w zimie smutny będzie los zebranych. Dlaczego inżynierowie paryzcy zmienili dotychczasowy system odświeżania powietrza? Udzielają oni odpowiedź bardzo głęboką o różnicy prądów powietrza wchodzącego z dołu i z góry. Wedle nich powietrze wydobyte z pod podłogi idzie w górę jedną kolumną prostopadłą co jest nader nieprzyjemne dla widzów; powietrze zaś sprowadzone z góry przyjmuje początkowo kierunek równoległy, później rozbite na tysiączne promienie spływa zwolna ku dołowi. Spostrzeżenia te mogą być bardzo uczone, ale niestety zbywa im na praktyczności; nikt się nie uskarżał na kolumnę powietrza idącego w górę, ale wszyscy żalić się będą na odmrożone nogi i ręce, jeżeli wcześnie nie będą przeprowadzone odpowiednie zmiany.

Przechodzimy teraz do okazania o ile sala odpowiada dobremu słyszeniu mowy, śpiewu lub gry bo takie będzie jej przeznaczenie główne; wypada jednak w tej mierze zrobić kilka określeń naukowych, mających bezpośredni związek z powyż wskazanym przedmiotem.

Skoro mówimy w jakiejś sali w której ściany są gołe, głos nasz rozchodzi się we wszelkich kierunkach dochodząc nietylko do uszów słuchaczy ale odbija się o ściany sufit i podłogę. Głosy powrotne że się tak wyrazimy, krzyżując się wzajemnie w przestrzeni, dochodzą do uszów słuchacza w niejakiem opóźnieniu w stosunku głosu bezpośredniego, ponieważ przebiegają znaczniejszą przestrzeń. Jeżeli jednak sala nie jest zbyt wielką, to głos powrotny zbiega się niejako z dźwiękiem bezpośrednim czyniąc jego siłę dwa razy większą. Dla tej to przyczyny głos w pokoju jest silniejszy aniżeli na dworze, a w tunelach i pod mostami pociągi kolei żelaznej wydają łoskot ogłuszający.

Skoro sala jest obszerna to głos odbity nie łączy się już z głosem bezpośrednim, skutkiem tego następuje pewne zamieszanie dźwięków, przeszkadzających do dobrego słyszenia. Nareszcie w miejscowościach jeszcze obszerniejszych, głos odbity wraca znacznie później po głosie bezpośrednim, powtarzając dźwięk wydany kilka razy co w języku pospolitym nazwane jest *echem*.

Wzmocnienie głosu jest nadzwyczajnie pożądanem w salach koncertowych, przeciąganie jest szkodliwem, a echo powinno być stanowczo usuniętem. Tymczasem powierzchnia odbijająca położona w odległości 34 metrów wydaje już echo; przy dźwiękach zaś krótkich i nagłych w muzyce, nawet siedemnasto metrowa przestrzeń oddziela głos powrotny od bezpośredniego. Przyczyna tego łatwa do zrozumienia. Mówca w ciągu sekundy może wymówić najwięcej pięć sylab, czyli że dźwięki wydane w przedziałach czasu równających się $^1/_5$ części sekundy są wyraźne dla ucha; wystarczy zatem opóźnienie $^1/_5$ części sekundy aby głos powrotny oddzielonym był od głosu bezpośredniego. Głos przebiega 340 metrów na sekundę, aby więc oddzielić dźwięki powrotne od bezpośrednich potrzeba przestrzeni wynoszącej 68 metrów, czyli skoro ściany lub sufit znajdują się od mówcy w odległości 34 metrów to echo będzie wywołanem koniecznie. W muzyce dźwięki krótkie w liczbie dziesięciu mogą być usłyszane odrębnie w ciągu jednej sekundy. W przeciągu czasu równającym się $^1/_{10}$ części sekundy głos przebiega 34 metrów, czyli że ściany położone od koncertanta na 17 metrów spowodują echo. W salach więc przeznaczonych na odczyty będzie miało miejsce echo skoro mury znajdować się będą w odległości 34 metrów od mówcy, a w salach koncertowych siedmnasto metrowa odległość będzie w tej mierze wystarczającą.

We wszystkich salach zbyt obszernych przeznaczonych na widowiska lub zebrania, potrzeba koniecznie zniweczyć echo, a nawet zbytnie przeciąganie dźwięków odbitych. W tym celu mury pokrywane są wyrobami miękkiemi nie stawiającemi oporu dla powietrza, a tem samem niweczącemi jego fale czyli pochłaniającemi dźwięki głosu. Środka tego użyto i w sali Trocadero wykładając ściany szarpiami jedwabnemi na grubość sześciu milimetrów. Obszerność jednak miejsca przeznaczonego na uroczystości wzniecila obawę: czy głos bezpośredni bez wzmocnienia przez głosy odbite

będzie wystarczającym dla słuchaczy siedzących nieraz na znacznej wysokości? Zrobione próby wykazały słuszność stawionej wątpliwości; głos ludzki a nawet dźwięki instrumentu pojedyńczego dochodziły do pierwszych rzędów krzeseł amfiteatru w stanie wielkiego przytłumienia, niedozwalającego ująć należycie delikatniejszych odcieni. Dla wzmocnienia głosu bezpośredniego chciano wytworzyć sztucznie dźwięki, odbite przez ukośne zbudowanie podłogi i sufitu sceny.

Tym sposobem miano nadzieję wzmocnić głos w pierwotnem swojem ognisku. Scena nie ma wysokości siedmnastu metrów, a tem samem poruszone fale powietrza bezpośrednio i pośrednio przez odbicie, prawie jednocześnie uderzają zmysł słuchu zebranych. Pomysł ten był bardzo dowcipny w teoryi, dzienniki przyklasnęły, ale w rzeczywistości trudność nie była przezwyciężona. Sala jest zanadto wielka, nie posiada warkunów akustycznych; w niewielkiej nawet odległości na podwyższeniu głos już traci na swej mocy, czyniąc na słuchaczach niemiłe wrażenie przez wymaganie zbyt natężonej uwagi. Ze względu na przedział dzielący nas od sceny, zadziwieni byliśmy tą okolicznością; nie sam zatem obszar sali ale i inna okoliczność stawia opór drganiu powietrza, spowodowanemu śpiewem lub instrumentem. Tą okolicznością jest owe nieszczęśliwe wpychanie powietrza z góry na dół, wbrew dotychczasowym warunkom zachowywanym w salach koncertowych. Powietrze płynące z dołu do góry nietylko nie sprzeciwia się wibracyi ale takowej dopomaga; naodwrót powietrze idące z góry do dołu napotykając fale płynące w odmiennym kierunku, stawiają im konieczny opór a tym sposobem osłabiając koniecznie siłę przenoszonego dźwięku. Sala zatem Trocadero może być użyta z powodzeniem dla orkiestry i chórów, ale solistom szczególniej początkującym nie radzę na jej deskach szukać powodzenia.

Przeciągnęliśmy może zbyt długo opis sali w Trocadero, udzielone jednak określenia służyć mogą za podstawę do oceniania sal przeznaczonych na większe zebrania. Wyraziliśmy sąd zupełnie odmienny od wielu sprawozdań poczynionych w tej mierze, nie lękamy się jednak zarzutu niesprawiedliwości; dany w skróceniu wywód naukowy usprawiedliwia nas jak najzupełniej; zresztą osoby mające sposobność zwiedzić salę w Trocadero przyznają nam najzupełniejszą słuszność, jeżeli bezstronnie i umiejętnie zechcą zbadać nowo wystawiony przybytek sztuk i chwały francuzkiego narodu.

(d. c. n)

O ubiorach.

Staniki bluzkowe do pasków, długie staniki z baskiną plisowane lub marszczone i materjały w kratę stanowią nowość w modę obecnie bardzo wchodzącą. Osoby jednak z figurą trochę pełniejszą muszą wyrzec się staników fałdowanych i trzymać się fasonów które zdają się podłużać i zwężać figurę; to samo notujemy i co do materjałów w kraty, którym wróżą powodzenie nie tylko na sezon jesienny ale i zimowy.

W ubraniach na dnie zimniejsze mieszają materyą faille, atłas i aksamit z kaszmirem indyjskim, materjałem broszowanym lub matelassé wełnianym. Strojne suknie mają cały przód z gładkiej materji, inne bryty i stanik z aksamitu deseniowego. Plastrony kamizelki, skosy i tem podobne przybrania do sukien dają z aksamitu lub gładkiej materji, co o wiele podnosi efekt toalety.

Na ulicę noszą się krótkie suknie—przyjęte zarówno przez większe elegantki jak i osoby oszczędniejsze. Przyznać musimy że zwyczaj noszenia trenów w ręku lub na paziach nie był dla wszystkich korzystnym i nieraz, przy niezręcznem podniesieniu sukni, można było odsłonić listwę mocno zakurzoną; suknie zaś równo obcyrklowane, trochę niedostające do ziemi zupełnie nie krępują ruchów i chronią od zabłocenia: treny stosowne dla osób mających własne ekwipaże zostają przy toaletach balowych i wizytowych.

Opiszemy jedną suknię do wyjścia na ulicę, z materjału wełnianego (madras) koloru tabaczkowego w rzucik ponsowy. Przód formą princęsse, zakończony u dołu plisowaniem 40 cent: szerokiem, stanik z baskiną ma plecy środkiem fałdowane, tylne bryty sukni również zaplisowane, dane na fałszywej spódniczce, zakończonej dwoma marszczonemi falbanami. Przez przedni bryt dana draperja dochodząca do wolantu, w górze oszyta plisowaniem, z tyłu skrzyżowana i przypięta puklami z materyału sukni. Pasek z materyi gros—grain; kołnierzyk marynarski z madrasu oszyty marszczoną falbaneczką.

Kostjum podróżny dla osób szczupłych najmodniejszy jest z materyału w kratę; spódnicę ma plisowaną à la religieuse, opasaną draperyą formującą jakby drugą spódniczkę; stanik fałdowany lub bluzkowy z gładkim karczkiem. Dla osób pełniejszych stósowniejszy jest materyał gładki lub w pasy; spódnica gładka zakończona szerokiem plisowaniem z nadgłówkiem; stanik bardzo długi z przodami opiętemi w pasie na jeden guzik u góry otwartemi i dopełnionemi kamizelką z faille lub kaszmiru.

Zasługują na wzmiankę tak zwane fałszywe spódniczki, będące bardzo w użyciu, które zastępują spódnice z tanich materyałów, naszyte falbanami i przyozdobione tylko u dołu a powyżej przysłonięte przez vêtement z innego droższego materyału. Nie praktyczne były one bo lada silniejszy powiew wiatru, lub ruch niezręczny pod efektownem garnirunkiem lub tuniką odkrywał odmienną spódnicę. Obecnie zaś noszone fałszywe spódniczki są rzeczywiście tylko półspódniczkami czyli nadsztukowaniem krótszem lub dłuższem które podszywa się od spodu tuniki niżej lub wyżej odpowiednio do tego czy suknia stanowi ubranie spacerowe, domowe lub wizytowe. Spódniczka taka może być z faille lub kaszmiru gładkiego, do vêtement z innego materyału; można ją także przyfastrygować na sukni zniszczonej tylko u dołu, którą tym sposobem odświeżamy.

Tegoroczne okrycia jesienne fasonem zbliżone są do przeszłorocznych, w wykończeniu i szczegółach jednak różnią się od nich bardzo. Od pewnego czasu w wyborze materyałów na okrycia damskie i w ich odrobieniu zaczyna przebijać „genre masculin" jak wyrażają się w Paryżu; szczególniej zaś cechy te widoczne w paletotach, które tego roku są jeszcze węższe i mają szwy, kieszenie i guziki jak u męzkich paletotów—guziki stanowią główne przybranie okryć pozbawionych innych ozdób. Proste linie stebnówki, co najwyżej sutaszu, tu i owdzie oryginalnie odznaczone przecięcie na kieszeń, gruby jedwabny sznur lub wypustka zakończająca brzegi, oto wszystko co stanowi ozdobę modnego paletota, zbliżonego do okryć męzkich. Zwracamy uwagę że takie paletoty stósowne są tylko dla młodych osób, poważniejsze wiekiem noszą dolmany z rękawami wszytemi w pachę lub idącemi od pleców. Modele i formy okryć podamy w dalszych Nrach Tygodnika; z materyałów na okrycia modny jest *double cachemire des Jndes*, *Diagonal*, *Double*, *Mousse*; podwójnie tkane materyały najwięcej używane mają wierzch ciemno lub jasno piaskowy a spód bronzowy. Kaszmir indyjski z włosem odpowiedni jest na pokrycie, lekko watowanych okryć z atłasową podszewką a szczególniej zaś do podszytych futrem. Materye, aksamit lub sicilienne mniej są noszone jak w roku zeszłym. Aksamitne okrycia modne są do strojnego spacerowego lub wizytowego ubrania i w takim razie powinny być przybrane podobnie jak suknia. Jako przybranie dolmanów aksamit jest bardzo stosowny i razem z kosztowną frendzlą wygląda bardzo ładnie. Frendzle maraboat i sznelowe należą do najkosztowniejszych, po nich następują jedwabne wiązane, macramé, kręcone lub fryzowane.

Nowość stanowią guziki wyrabiane ażurowo z konchy lub ze stali, do mniej strojnych należą ciemne szyldkretowe z malowaniem japońskim; szmuklerskie guziki doszły już że tak powiemy do doskonałości.

Fasony kapeluszy są bardzo różnorodne—do najoryginalniejszych dla młodych osób należy fason „cabriolet" z niezmiernie wysokiem, prosto w górę stojącem rondem. Przy wiązanych kapeluszach końce z wązkich wstążek nie wiążą się jak dotychczas z boku, lecz krzyżują lekko na około szyi i z tyłu związują w kokardę. Oprócz aksamitnych najstrojniejszych modne są filcowe i pluszowe; materye używane są tylko do przybrania lub na kapelusze wyłącznie do jednego kostiumu—aksamit w szkocką kratę zdobi najświeższe fasony: pióra wszelkiego rodzaju ciągle są w użyciu, odznaczają się tu jako nowość marabout z brzeżkiem złoconym „houppettes".

W uczesaniu włosów zaszła ta zmiana iż podniesiono je wysoko, odsłaniając szyję; i długie loki są już nie modne; na głowie mało ozdób kwiat lub kosztowna śpilka.

Opis ryciny kolorowej.

Ubranie spacerowe. Składa się ze spódnicy ubranej tunikowo i z długiego paletocikowego stanika, odszyte z materyału wełnianego zielonego w prążki blado niebieskie, ciemny gładki materyał użyty na kamizelkę, przy której stanik zapina się nie widocznie i na wypustki. Plisowanie, wstążka atłasowa, ciemno-niebieska z jasną lewą stroną $2\frac{1}{2}$ i 5 cent: szeroka i 12 cent. szeroka frendzla wełniana składają przybranie sukni.

Ubranie z bronzowego indyjskiego kaszmiru. Długi stanik z wykładanym kołnierzem i wązkiemi rękawami, wraz z tunikowem upięciem, dochodzącem do brzegu baskiny stanowi rodzaj vêtement, oszytego wązkiem plisowaniem. Na tunice z jednego boku dane sute upięcie z atłasowej wstążki, z drugiego zaś widzimy pas drobniutkich bufek ściśle przemarszczonych.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

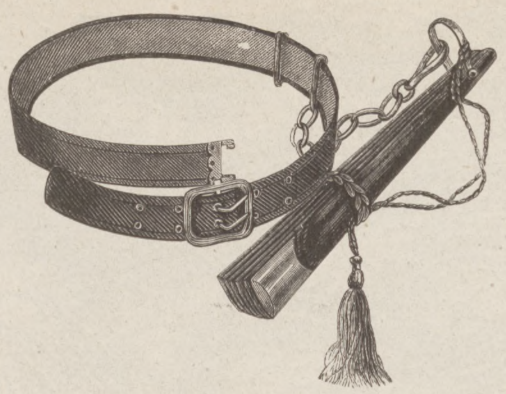
ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 10 Октября 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Opis do N. 43.

(Dokończenie).

Frendzla, przedstawiona w połowie naturalnej wielkości na ryc. 20, zrobiona jest z włóczki karbowanej: potrzeba w tym celu wziąść włóczkę poczwórnie i przerobić pas gładki na cienkich drutach, zwilżyć go nad parą, przeprasować gorącem żelazem i w parę godzin potem spruć — po spruciu włóczka będzie się równo i ładnie karbować. Następnie kraje ją się w kawałki po 24 cent. długie, cztery promienie włóczki, przeciągnięte jeden blizko drugiego przez brzeg chusteczki; poczem mocno przewiązane nitką cienkiego jedwabiu razem, tworzą kwaścikową frendzlę, jak na ryc. 20. Na rycinie 6 widzimy taką chusteczkę, zręcznie zarzuconą na osobę.



N. 1—2. Pasek z łańcuszkiem do wachlarza i wachlarz.



N. 3. Kołnierz wykładany i krawatka.



N. 5. Paletocik weinany z wykładanym kołnierzem i kamizelką (Veste Charlotte Corday).

N. 23. Napierśnik dla dziecka. Patrz ryc. 12—14 w N-rze 42.



N. 4. Tiulowa krawatka przepięta świeżemi kwiatami.

Kraje się z białej dymki, piki, lub repsu; wykrój szyi i brzegi tylne objęte są pliską batystową, pod śliniczek daje się perkal biały. Przyozdobienie stanowi wyszycie bawełną szafirową w trzech cieniach ściegiem luźnym, sznureczkowym i łańcuszkowym; w N-rze 42 zamieściliśmy desenie na szlaczki i bukiecik środkowy.

N. 24—25. Rękawy do sukien.

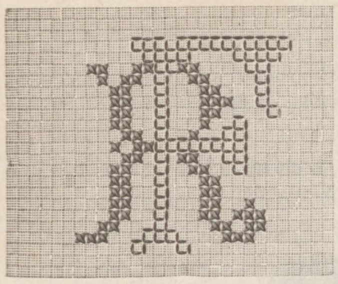
Nie wymagają opisu, gdyż podług ryciny łatwo wyciąć mankiet i wykończyć przybranie.



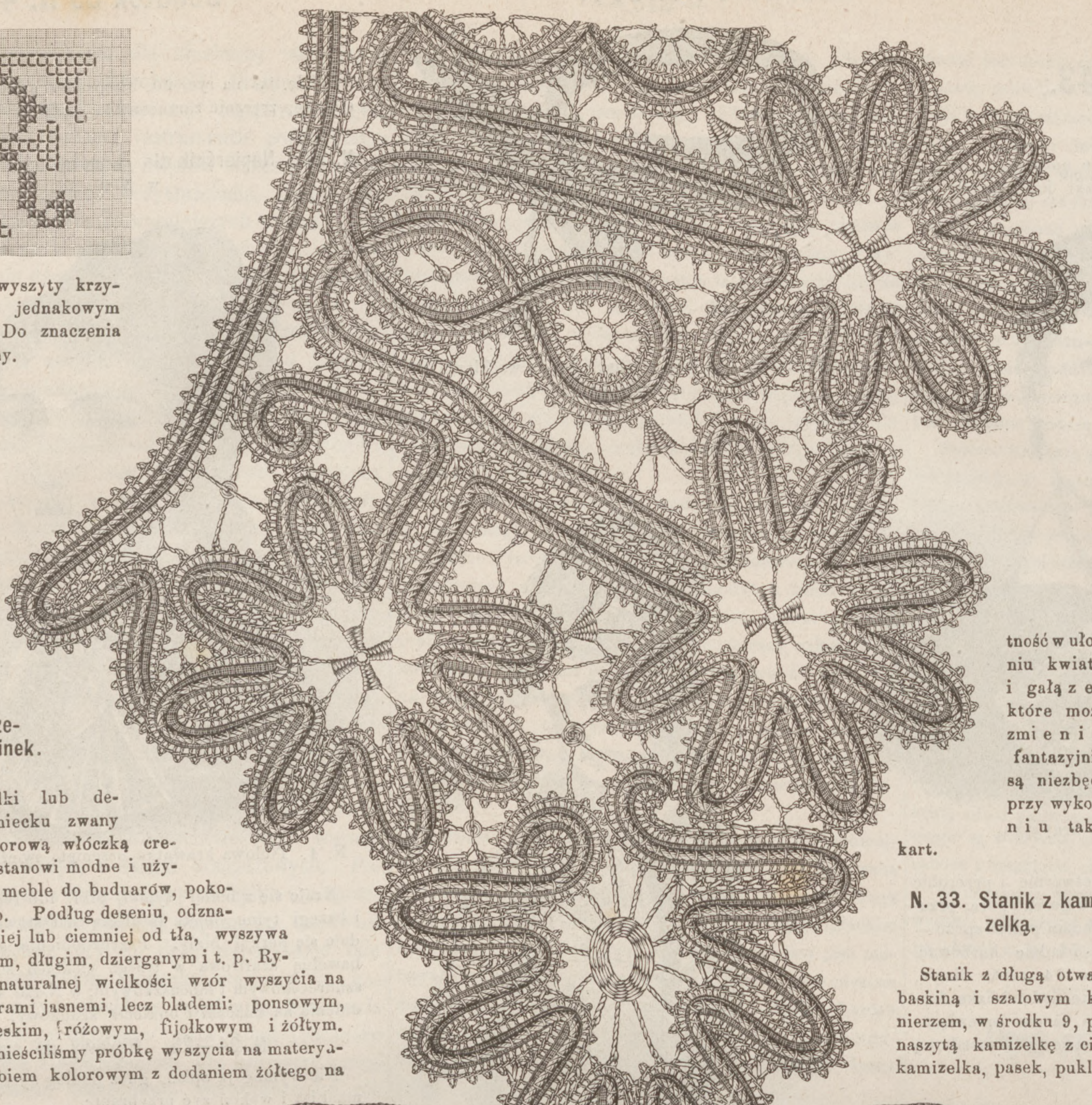
N. 6. Chustka robiona na drutach. Patrz ryc. 19.



N. 7. Chusteczka szalowa tkana fabrycznie.



N. 8. Monogram wyszyty krzyżykami i ściegiem jednakowym na dwie strony. Do znaczenia bielizny.



N. 11. Część kołnierzyka do ryc. 12. Wielkość naturalna.



N. 9. Monogram haftem atłaskowym.

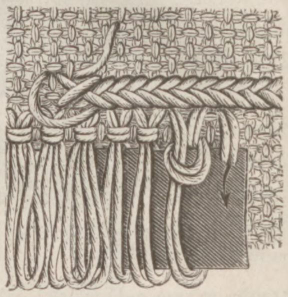
N. 26—28. Krzesło przed kominek.

Materyał gładki lub deseniowy (po niemiecku zwany Jute) wyszyty kolorową włóczką crewel lub filozelą, stanowi modne i używane pokrycie na meble do buduarów, pokojów męzkich i t. p. Podług deseniu, odznaczającego się jaśniej lub ciemniej od tła, wyszywa się ściegiem luźnym, długim, dzierganym i t. p. Rycina 28 załącza w naturalnej wielkości wzór wyszycia na tle ciemnem, kolorami jasnemi, lecz blademi: ponsowym, oliwkowym, niebieskim, różowym, fijołkowym i żółtym. Na rycinie 20 zamieściliśmy próbkę wyszycia na materyale gładkim jedwabiem kolorowym z dodaniem żółtego na cień najjaśniejszy.

Wygodne krzesło odpowiednie przed kominek, które przedstawia ryc. 26, ma wysłanie, pokryte aksamitem, na wierzchu zaś położona jest poduszka, zupełnie dopasowana do krzesła, pokryta materyałem w duży ciągniony deseń z brzegami, oszytemi sznurem z rozetami i kwastami. U dołu krzesła dana szeroka frendzla, prawie zasłaniająca nogi.

N. 29—32. Karty do spisu potraw (menus).

Na wytwor n i e zastawionych stołach do obiadów proszonych kładą się karty ze spisem potraw dla dogodności biesiadujących. Karty, jakie podaliśmy na ryc. 30, są naśladowane podług wzorów z wystawy paryzkiej; kartka tekturowa piaskowa, bladoróżowa lub t. p. stanowi podstawę, na której dodane są ozdobnie ułożone ramki, girlandka lub wianeczek z delikatnych zasuszonych kwiatów, trawek i mchów, naklejone niewidocznie gummą arabską. Gust osobisty i umiejętność w ułożeniu kwiatów i gałązek, które można zmieniać fantazyjnie, są niezbędne przy wykonaniu takich kart.



N. 10. Szlaczek brzeżny i frendzla do serwetek z kanwy Jawa.

N. 33. Stanik z kamizelką.

Stanik z długą otwartą baskiną i szalowym kołnierzem, w środku 9, przy pasku 2 cent. szerokim ma naszytą kamizelkę z ciemniejszego materyału; na modelu kamizelka, pasek, pukle i plisa przy rękawach i objęcie brzegów stanika były z materyi faille. Klamerka oksydowana.

N. 34. Paletocik dla chłopca lat 6—8.

Uszyty z popielatego sukienka zwykłą niewcinaną formą, ma plecki spięte patką; kołnierz wykładany, na rękawach wykłady 6 cent. szerokie, brzegi gładko przestębnowane.

N. 35. Ubranie z chusteczką pelerynową.

Krój pelerynki patrz ryc. 21 w N rze 37.

Suknia fo r m ą princesse z cienkie-



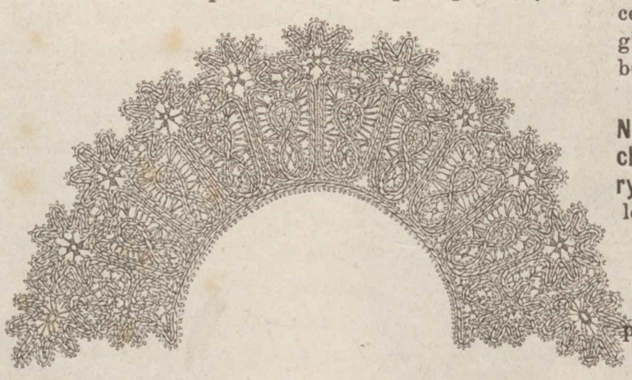
N. 13. Spódniczka włóczkowa robiona ściegiem tunetańskim, dla małej dziewczynki. Patrz szlak na ryc. 24 w N. 42.



N. 14. Kaftaniczek robotą w ramach. Patrz ryc. 25 w N. 42.



N. 15. Kasetka z poduszeczką do szpilek podwójnych.



N. 12. Kołnierzyk z koronki irlandzkiej. Patrz ryc. 11.



N. 17. Suknia z vêtement. Krój vêtement patrz ryc. 11—12 w N-rze 19.

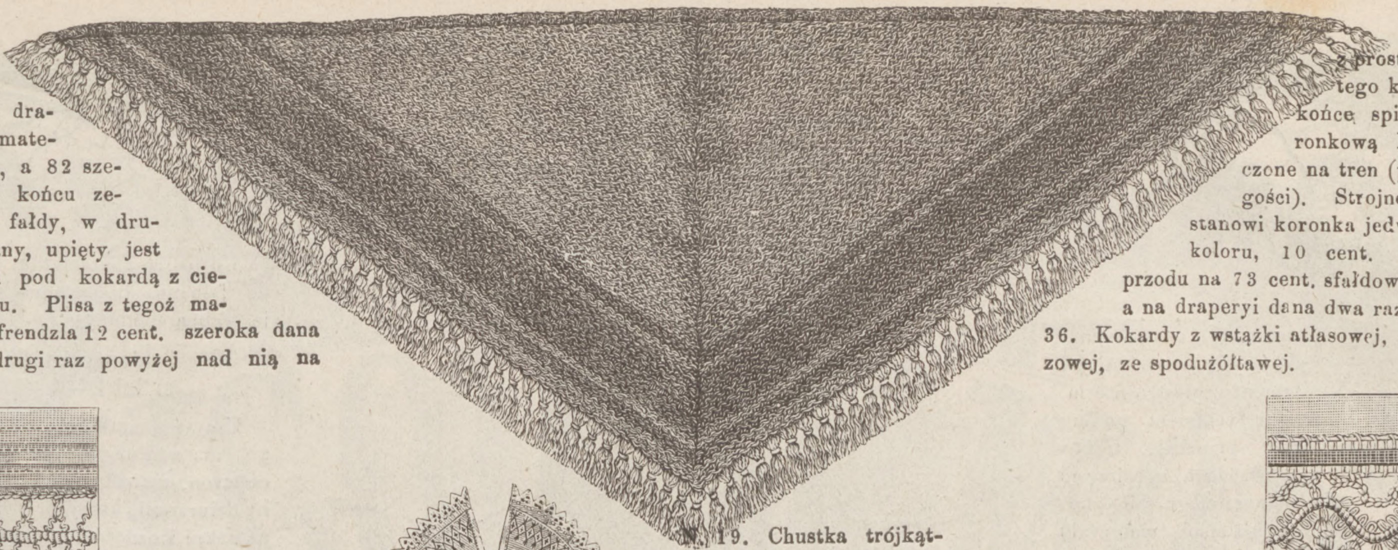


N. 16. Szlaczek wyszyty krzyżykami i ściegiem luźnym.

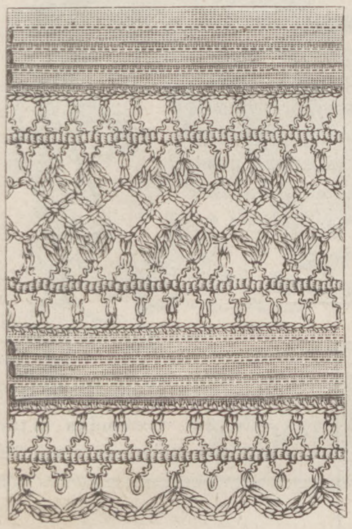


N. 18. Ubranie jesienne. Patrz ryc. 36 w N. 42. Krój stanika podług ryc. 27—28 w N. 23.

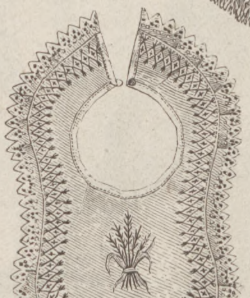
go wełnianego materyału (neigé) koloru oliwkowego, ozdobiona jest draperyą, upiętą z kawałka materyału, 180 cent. długiego, a 82 szerokiego, który w jednym końcu zebrany jest wązko w ścisłe fałdy, w drugim lekko tylko sfałdowany, upięty jest na sukni i złączony z boku pod kokardą z ciemnego gładkiego materyału. Plisa z tegoż materyału, 8 cent. szeroka i frendzla 12 cent. szeroka dana jest brzegiem draperyi i drugi raz powyżej nad nią na



N. 19. Chustka trójkątna robiona na drutach. Patrz frendzlę na ryc. 20 i ryc. 6.



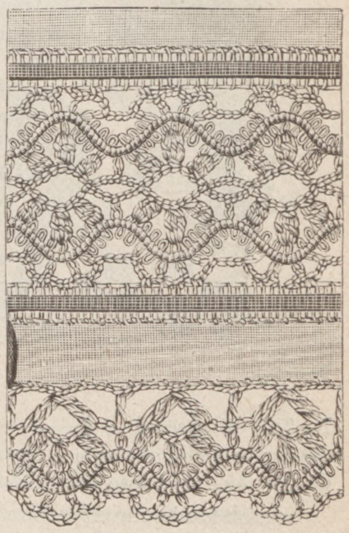
N. 21. Wszywka z torsadki i roboty szydełkowej, do bielizny fartuszków dla dzieci i t. p.



N. 23. Napierśnik dla dziecka. Patrz r. 12—13 w N. 42.



N. 26. Krzesło z haftowanemi poduszkami. Patrz rycinę 27 i 28.



N. 22. Wszywka z mignardise tasiemeczki koronkowej i roboty szydełkowej.

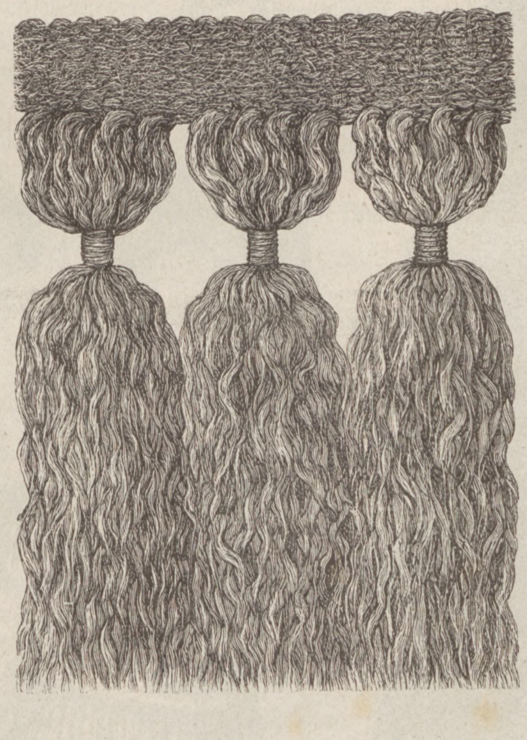
sukni. Dół sukni zdobi plisowana falbana z nagłówkiem plisowanym, przestębnowanym dwa razy. Zręczne dopełnienie ubrania stanowi chusteczka pelerynowa, złożona z trzech zachodzących na siebie części objętych ciemną wypustką, dolna zaś oszyta jest frendzlą. Krój wskazaliśmy powyżej.



N. 24. Rękaw z gładkim mankietem.



N. 25. Rękaw z plisowanym mankietem.



N. 20. Frendzla do chusteczki ryc. 20. Wielkość naturalna.

N. 36. Suknia princesse, zdobna koronką.

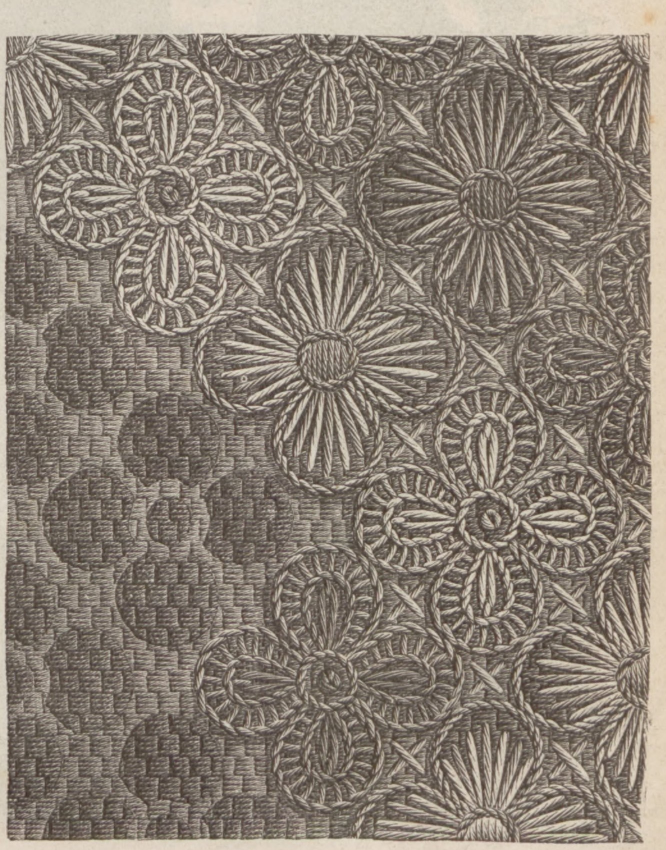
Odrobiona z cienkiego kaszmiru brązowego koloru ma u dołu plisowaną falbanę, 38 cent. szeroką, której brzeg górny zachodzi pod draperyę szalową, 35 cent. szeroką, ułożoną z prostego bryta, oszytego koronką, którego końce spięte są z tyłu koronkową kokardą i spuszczone na tren (po 50 cent. długości). Strojne przyozdobienie stanowi koronka jedwabna żółtawego koloru, 10 cent. szeroka, wzdłuż przodu na 73 cent. sfałdowana wachlarzowo, a na draperyi dana dwa razy podług ryciny 36. Kokardy z wstążki atłasowej, z wierzchu bronzowej, ze spodu żółtawej.

N. 37. Suknia z vêtement.

Gustowne to ubranie, odszyte z czarnego kaszmiru i czarnej jedwabnej materyi, ozdobione jest kosztowną



N. 27. Haft ściegiem luźnym na gładkim materyale; odpowiedni do ryc. 26.



N. 28. Hąft ściegiem luźnym na deseniowym materyale, odpowiedni do ryc. 26.



N. 29. Wianeczek z zasuszonych kwiatów i mchu do ryc. 30. Wielkość naturalna.

pasmanteryą i falbankami i składa się ze spódnicy i vêtement z plastronem. Krająć vêtement podług formy princesse, trzeba przy przodach, ukrojonych w jednym ciągu z boczkami, naddać materyału wzdłuż u dołu na fałdowaną poprzecznie falbanę. Takaż druga falbana, 40 cent. szeroka, wysuwa się od spodu i zachodzi aż pod bryt tylny. Jedna plisowana i dwie, w kontrafałdki ułożone falbanki kaszmirowe zdobią je .wabną spódnicę.

N. 38. Sukieneczka dla dzieci lat 2—4.

Uszyta z materyału wełnianego, ma wzdłuż przodu dodany plastron, z obu brzegów opatrzony dziurkami, który przypina się na sukni i ozdobiony jest wyszyciem z sutaszu. Falbanka plisowana, 7 cent. szeroka i kokardy z wstążki repsowej, zdobią sukienkę.



N. 30. Ozdobna karta do spisu potraw. Patrz r. 29.



N. 33. Stanik z naśladowaną kamizelką.



N. 31. Girlandka z trawek i mchu do ryc. 32.



N. 32. Ozdobna karta do spisu potraw. Patrz r. 31.



N. 34. Paletocik dla chłopca lat 6—8.

N. 35. Suknia z pelerynową chusteczką. Krój chusteczki patrz ryc. 21 w N-rze 37.

N. 36. Suknia princesse zdobna koronką.

N. 37. Suknia z vêtement.

N. 38. Sukieneczka wycięta dla dzieci lat 2—4.